

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy

DZIAŁ CZASOPISM

Sf.czas.:11922

NASZE ŻYCIE:

miesięcznik młodzieży szkół średnich / Komitet Wydawniczy.

Sambor (Kr)

R.1 1933 nr 4[IV]-6 [V/VI]



76396/1
Rok I.

Sambor, kwiecień 1933.

Nr. 4.



M I E S I Ę C Z N I K

M Ł O D Z I E Ż Y

S Z K Ó Ł Ś R E D N I C H

W S A M B O R Z E

CENA
30
GROSZY

pag. 343
11/11 50

fx555



MILITARY

NEW YORK

HOMER

1850

NASZE ŻYCIE

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich w Samborze.

NA DZIEŃ ZMARTWYCHWSTANIA.

Wstał radosny z objąć śmierci, wstał wielki, triumfujący i piękny.

Starł śmierć, dotychczas wszechwładną, przewyciężył niezwyciężoną.

I oto śmierć ze wstydem pierzchła w ciemności, które wygnało światło.

Zawładnął światem On, Chrystus wiecznie żyw i radosny.

Powstaniem z grobu dał świadectwo Prawdzie, dał triumf życiu i radości.

A jako sam powstał z martwych, tak wskrzesił wszystko, co dotąd marniało, co w smutku i tęsknocie wyczekiwało słońca.

I oto świat się na nowo odradza. Ziemia odetchnęła, wyswobodzona z oków zimy w tym samym czasie, kiedy On wyzwolił się z oków śmierci. Przeszedł przez nią ożywczy prąd, płodny wiew wiosenny.

Stworzenia, obumierające w chłodzie i ciemności, poczuły na sobie życiodajne promienie.

Nastała chwila radości. Głośmy chwałę Jego!

. bo oto zwyciężył śmierć . . .

i ciemności i trwogę . . .

Hosanna! Hosanna!

.... Oto sprawił, że wszelkie stworzenie ku życiu nowemu się budzi...

.... Oto człowiek przeży mocno swą pierś, bo wzbiera w niej ożywcza radość życia i przeży ramiona, bo czuje w nich młodzińczą siłę i moc. Objąłby niemi cały świat, bo pulsuje w nim życie!



Zapomniał o troskach dnia powszedniego, zwątpiałą duszę podnosi nadzieja, — oto budzisz Panie do życia wszelkie stworzenie, zbudzisz i moją upadłą, chorą i znękaną duszę.

Oto sprawiasz, że ptaszkiwie leśni, kwiaty, zioła i trawy głoszą hymny uwielbienia dla wielkości Twojej, sprawisz, że i moja dusza zrozumie Twoją wielkość i dobroć, że także potrafi być wdzięczna

Z ciasnych zimowych obłonek wychylają się pędy wiosenne, cudu mądrości Bożej, rozwijają wonne i barwne płatki i niemi głoszą cześć Panu, niemi radują się życiem.

Cześć i chwała Stwórcy! Bądź uwielbiony Życiodawco!

Świat cały w radosnem słońcu, cały w radosnych dźwiękach, jak harfa złotostrunna, grająca przepotężny hymn na chwałę Zmartwychwstałemu.

Kurs V. Pryw. Sem. Żeńsk.

RADOMSKI TOMASZ kl. VIII.

O „dyktaturze wygi“, czytelniku i krytyce złej słów kilka. *)

Każdy okres kultury duchowej posiadał charakterystyczną cechę, własnego ducha, geniusza, którym przepełnione były wszystkie niemal dziedziny życia duchowego. Od czasów kultury egipskiej, tajemniczego kultu i mistycznej wiedzy kapłanów egipskich przechodzą uczeni do ducha filozofii greckiej i przez zimną prawniczą mądrość Rzymian, ascetyzm średniowiecza humanistyczny indywidualizm dochodzą do czasów nowszych, do wieków 18 i 19, które przyniosły tyle nowych rzeczy i tak przemieniły dotychczasową strukturę myśli ludzkiej, że filozofowie nazwali ten okres przełomowym. — Ta analiza wieków nasunęła mi się w związku z uwagami publicystów polskich, którzy nazywają obecne czasy epoką gorączki powojennej, trudnej do określenia. Coś w tem jest. Trudno rzeczywiście ustalić dziś budżet

*) Artykuł ten ciekawy ze względu na temat — uważamy za dyskusyjny. — Przyp. Redakcji.

moralny. Dawniej, ustaliwszy, że ktoś jest „porządny chłop“ lub „świnia“, można się było do niego odpowiednio ustosunkować. Teraz ktoś, kogo gotowi byliśmy wczoraj uściskać jako „porządnego chłopca“, okazał się dziś zdecydowaną „świnia“. (Choćby według „klucza partyjnego“). Spotykamy się z tem wszędzie: w towarzystwie, przy czarnej kawie, na ulicy, w parlamencie, fabryce, szkole, w teatrze, sztuce, w nauce, w literaturze wreszcie. Zresztą o wszystkim decydują dziś nie znawcy, nie fachowcy, lecz dyletanci, którzy o danej rzeczy nie mają wcale, lub mają dosyć mętne pojęcie. Do wszystkiego się jednak zabierają, „fabrykanci Inu o poezji piszący“, jak ich nazywa Gustaw Flaubert. Z bieżni przechodzą do literatury; nie mając słuchu, „oceniają“ sonaty Beethovena, a gdy umieją głośno krzyczeć, ukazują się na estradach. Są to poprostu ludzie **wygi**. Ciekawy typ. **Wyga** na niczem się nie rozumie, nie ma czasem najprostszych podstaw do podnoszenia głosu, wszędzie się jednak wciśnie, kładąc swoje trzy grosze; przytłacza sobą innych, dyskredytuje wszystko i wszystkich, stawiając ze swym bezdennie głupim i bezczelnym śmiechem i machnięciem ręki siebie na pierwszym miejscu. Bardzo często zbiera oklaski i wyrazy uznania lub cięłego zachwyty. Ś. p. Zdzisław Dębicki nazwał to „**dyktaturą wygi**“. Smutne, ale prawdziwe. Wierzę, że dużo jest takich, którzy czytając ten feljeton, przyznają mi rację, gdyż ich to niejednokrotnie spotkało; niejeden raz w życiu wlaźł im w drogę wyga, zmuszając ich do ustąpienia. Wszak tak trudno jest nieraz zniżyć się do jego poziomu. I wierzę także w to, widzę nawet, jak słowa te czyta — wyga; machnie ręką, a wkońcu zaśmieje się tak strasznie głupio. — To, że wyga panuje w towarzystwie lub szkole, nie pociąga za sobą prawie żadnych skutków. Gorzej jest, jeżeli wlezie na teren nauki lub literatury. Z tej ostatniej wybiera wyga krytykę, bo tutaj jedynie może się poruszać. Tem należy sobie tłumaczyć powstawanie złych krytyk, w dodatku nieprawdziwych. I cóż? Zamiast wymiany słów między krytykiem i autorem powstaje niesmaczne *qui pro quo*, w rezultacie czego jeden pisze o tem, o czem drugi nie myślał. Jak się wobec tego zachowuje ten trzeci rodzaj literatów, t. j. my, czytelnicy. Czytelnik wobec krytyka, chwaleńczego książkę, będącą zdaniem czytelnika ramotą literacką, jest, jak pocziwy

kmiotek wobec nieuczciwego kupca, który mu z nonszalancką werwą Mraczewskiego z „Lalki“ Prusa zachwala i wpycha zły towar i każe mu widzieć w połysku i barwie niezwykłą dobroć towaru, w co naturalnie poczciwemu chłopinie ani rusz się wierzyć nie chce. Dla niego jednak kupiec ów posiada pewien autorytet, imponuje mu podświadomie swoją sztuką kupiecką, ale obok tego na dnie jego myśli siedzi ten prymitywny (może dlatego dobry) pogląd na daną rzecz, który mu każe przytakiwać kupcom, a w rzeczywistości inaczej o tem myśleć. Podobna rzecz dzieje się z czytelnikiem. — Zły krytyk psuje dobrego czytelnika. Czytam np. książkę, która posiada dla mnie walory literackiego dzieła, jest piękną i mądrą, słowem, podoba mi się. Aż ni stąd ni zowąd pojawia się na szpaltach któregoś z czasopism artykuł, podpisany bardzo często nic nieznaczącym pseudonimem lub pierwszemi literami imienia i nazwiska, traktujący właśnie o świeżo przeczytanej przeze mnie książce. Ciekawa jest budowa takiego artykułu. Coś, jak w kazaniach Skargi: prooemium narratio i conclusio. W pierwszej części zaznacza autor, że to, o czem będzie pisał, jest tylko jego „skromnym sądem“, w drugiej przystępuje do „rzeczy“: wyszukuje te punkty dzieła (czasem całej twórczości), których widocznie sam nie zrozumiał i mówi, że tutaj autor nie wydaje się wielkim, że należało pisać inaczej, a nie tak jak jest i t. d. Jasnym jest wtedy, że ten pan stara się przedstawić autora danego dzieła w ujemnem świetle, jednak czyto wskutek filisterstwa czy fałszywego wstydu, nie chce się otwarcie do tego przyznać. Wreszcie w trzeciej części, w conclusio, zamykając swoje wywody, zwraca się autor takiego, z pewnemi formami etykiety literackiej napisanego pamfletu, do czytelnika, ze słowami, że nie należy jednak krytykowanego autora przedstawiać sobie źle, bo nie brak jego książce stron dobrych i t. d. i t. d. Młody czytelnik staje wtedy na rozdrożu. Podoba mu się pierwszy, wierzy drugiemu, sam nie wie, co o tem wszystkim myśleć, wreszcie trzaśnie książką o stół, nie biorąc jej do ręki przez czas długi. — Niesmaczne jest też podglądanie drobnych szczegółików z życia wielkich ludzi, umyślne wystawianie na widok publiczny małych niedociągnięć, tak małych w porównaniu z ich genialną twórczością, że topnieją w tym blasku przeogromnym, jak drobne płatki śniegu w ulewie sło-

necznej. Cóż nas może obchodzić pożycie małżeńskie Mickiewicza, randki Słowackiego, czy stan kieszeni Przybyszewskiego, kiedy mamy przed sobą nieprześcignione twory tych genjuszy. To może być ciekawe, ale nie wystarcza, by posłużyło do poniżenia wielkości. Nazywa się to czasem „odbronzowaniem“. Pozwolę sobie tu przytoczyć jedno nazwisko: Boy—Żeleński. Można Boya lubić za jego mistrzowską ciętość pióra, można podziwiać jego odwagę, z jaką do wszystkiego przystępuje, ale za odbronzowanie Boy mi się stanowczo nie podoba. „Odbronzowiając“ Mickiewicza, zrobił z niego pospolitaka, szlachcica z pokątnym brzuszkiem, którego miałoby się ochotę wziąć pod rękę, poklepać po ramieniu i posadziwszy przy stoliku u Barana, krzyknąć: „kelner, dwa małe! — Shocking! — Targnąłem się na Boya? Może. Nazwijcie mnie konserwatystą, bronzownikiem, schizofrenikiem, pyknikiem („regjonalizm“ szkolny), jak wam się podoba, ale wyrażam się otwarcie, nie nalepiam nikomu etykietek na plecach i mam przeświadczenie, że mówię prawdę.

Znam jednego pana, który zachwycił się „odbronzowaniem“ Boya, przyznawał mu „najzupełniejszą rację“, nie znając oprócz „Powrotu taty“ ani jednego wiersza Mickiewicza. Przypisać to należy temu, że bardzo często najpierw czyta się krytykę, a później samo dzieło. Przypomina mi się tu znana anegdota o autorze, który napisał książkę o zupełnie nieznanym kraju, a wydawszy ją, za otrzymane pieniądze pojechał tam, by się przekonać, czy w istocie tak jest, jak o tem pisał.

WALKA O NASZ IDEAL.

(Jeszcze w sprawie artykułu p. t. „My i Nasze Jutro“).

„Ale twardo, ale jasno
wśród narodu swego stać,
myślą bić, chorągwie rwać,
świecić czynu tarczą własną“.

Słowa te, jak grzmoty — błyskawic pełne, jędrne i mocne, jak nawołujący zew pobudki wojennej, jak przenikliwy głos komendy, wrzynający się aż do głębi serca. Oto wielka wskazówka idei — ogromny głos nakazu — wołający do nas o świadome pełnienie przykazań obywatelskich, znaczący drogi dla nas mło-

dych jasno i wyraźnie. To głos do jednej wielkiej kadry, jaką jest młodzież Odrodzonej Polski. Potrzeba tylko nowych, bliskich określeń dla zrozumienia ważności ideału. W dobie niewoli dość było śpiewać piosnkę smętną o czynie, o złotych skrzydłach ideału, kuć kosy i brzeszczoty, nasłuchując „Złotego Rogu“.

Poezja e.... to dźwięczne odgłosy, zawrotne przenośnie, błyskawiczne zwroty, szum orlich piór dawnych husarzy i ten „romantyczny pęd w nieznane“ (według kol. Radomskiego) ma zatętnić w żyłach naszych i przeciwstawić się technokracji XX w. i nim mamy tworzyć cud. Ale czy ta czysta poezja, bo poezją jest gonitwa w nieznane, szalony pęd naoslep, podobny do pędu dzisiejszej maszyny, która nie ma duszy, potrafi zwyciężyć technokrację XX w.?

Tem przeciwstawić się jednostronności nie można. Gdy zeszło słońce, wzniesiono skry złote, gdy zawitała wolność, rozsławiona w pieniach rozlicznych, potrzeba pracy na olbrzymich, zaniedbanych rozłogach życia społecznego. Ta proszona przez Wieszcza „stal czynów“ już świadomie krystalizuje się w młodych duszach młodego państwa. Czyn obywatela, który przyjdzie — już idzie mocnym energicznym krokiem w młodzieńczym hufcu. I to jest „nasze jutro“. Nie słowa i marzenia, ale rzeczywistość pobije kiedyś niewiernych, bo „słowo ma być krótkie, a czyn rozległy“. Tysięczne zaległości rumowiska, zastój na wszelkich polach, wzywa nas młodych i błaga o wyzwolenie. Musimy cierpliwie wycierać zmazy i rysy brzydoty duchowej w nas samych i naokół wygładzić fałdy, zgięcia w przejrzystą, gładką, nieskazitelną szatę piękną, dobra i prawdy. Zgoda i praca — oto walka o nasz ideał, o „nasze jutro“, a wtedy silni wrogowie będą się z nami liczyć. Ale ta praca, to nie bohaterski zryw tu i tam i nie odosobniona krzątania przy wąskim warsztacie pracy, ale skojarzony spłot wysiłków, to uregulowane życie dla Polski. „Polak umie umierać za Polskę, ale żyć dla niej nie potrafi“. Otóż sztuka życia dla Polski — to oddanie Polsce — nie burzą skołatanej duszy, ale młodej orlej duszy. Z tych dusz niech powstanie jakaś falanga mocna i zwarta, jak lawina, która uderzy w ton silny, jak dzwon i powie całemu światu, że Polska żyje i żyć będzie.

BYRKA JAN, kurs III. P. S. N. M.

NOC.

Powyginaną płachtą chmur kłębam,
zwisła nad ziemią, mroźna jakaś smutna
noc. Zsiniałemi od mrozu ustami
całuje śnieżne pól drzemiących płótna,
na których błady księżyc piękne wzory
haftuje nićmi swych srebrnych promieni,
które strzałami, chmur przebiwszy story,
srebrzystym szlakiem mkną chyłkiem ku ziemi.
Wśród księżycowej promiennej powodzi,
w badyłach suchych, sterczących nad śniegiem,
cicho się żaląc, wiatr skargi zawodzi
i lśniący się puch muska skrzydeł brzegiem.
W taką noc zrodzona na polu, dziwnej
skargi pieśń, podmuchem wichru niesiona,
mknęła w dal, światłem księżycy goniona.

ZYGMUNT WACHUŁKA, *kl. VIII. Gimn. I.*

Z HISTORJI SAMBORA.

W tym krótkim szkicu nie mam zamiaru przedstawiać całego ciągu dziejów naszego miasta. Chcę tylko powiedzieć o najciekawszych rzeczach z jego historii, o których mało kto wie, a trzeba, aby wszyscy przynajmniej ogólnie znali przeszłość swego miasta.

Sambor to stary gród. Zaczątki jego istnienia sięgają XIII w. W tym wieku najechały na Stary Sambor hordy Tatarów, Turków, Włochów. Hordy te puściły z dymem to miasto, a mieszkańców swoim zwyczajem zabrały w niewolę, ale nie wszystkich. Część znękanych starosamborzan uszła i osiedliła się w miejscu, gdzie dziś leży Dąbrówka. Osada ta nazywała się Pohonicz. Ale to jeszcze nie był właściwy Sambor. W pierwszej połowie XV w. Władysław Jagiełło nadał te ziemie Spytkowi z Melsztyna, a ten za pozwoleniem królewskim założył tu miasto na prawie niemieckiem, czyli magdeburskiem. I odtąd Sambor datuje swoje istnienie jako miasto. Budową swoją Sambor nie różnił się od

tych niewielu miast, jakie wówczas powstawały na kresach. Budynki były przeważnie drewniane, nawet zamczysko pana było zbudowane z grubych bierwion i kłód drewnianych. Zamek ten nie trwał długo. W roku 1490 zmiotła go nawała dziczy ze Wschodu, po której to klęsce zamek ten już nigdy nie powstał. Do dziś jako ślad po nim pozostała nazwa: plac Zamkowy. Może nawet nie wszyscy wiedzą, że plac ten znajduje się naprzeciw kościoła farnego przy ul. Konarskiego, która wtedy nazywała się Żółta. Sambor bardzo często ulegał zniszczeniu. Powodem tego było niezbyt silne obwarowanie. Drewniane ostrokoły gęsto wbijane, wzmocnione ubitą ziemią, dalej fosa, wypełniona wodą i wał ziemny: oto i całe obwarowanie. Kiedy wyżej wspomniana nawała zniszczyła drewniany zamek, wybudowano drugi okazalszy, ale w innym miejscu. Dziś stoi tam szpital. Była to siedziba Mniszchów. Z Kossak Szczucka w powieści pod tytułem „Złota wolność“ tak ten zamek opisuje: „Zamek samborski pana wojewody sędzińskiego Mniszcha warowny był i okazały. W pierwszym rzędzie otaczał go parkan potężny na półtora chłopca wysoki, z kłóców dębowych pod topór spuszcanych złożony, w którym basteczki były duże i brama podmurowana z samborzą i banią okrągłą, świecącą. Za parkanem była fosa cembrowana, a za fosą mur wyniosły, bastjonami ukrzepiony, z drugą bramą, jeszcze zdobniejszą niż pierwsza. Dopiero z za tego muru wychylały się dachy właściwego gmachu, strome, zębate, świecące miedzią gałek na wieżach i baniach“. Ważną i pamiętną dla Sambora i całej Polski chwilę przedstawia autorka w wyżej cytowanej powieści. Jest to chwila przyjazdu Jego Wysokości Carewicza Dymitra Joamowicza, późniejszego cara Dymitra Samozwańca, z prośbą o rękę Maryny, córki wojewody J. Mniszcha. Dzięki jej nadzwyczajnemu losowi Sambor stał się głośnym nie tylko w całej Polsce, ale i w całej Europie, jako rodzinne miasto carowej rosyjskiej. Obok wspaniałego zamku Mniszchów stał skromny zameczek myśliwski króla Stefana Batorego. Z zameczka nie pozostał najmniejszy ślad, a tam gdzie kiedyś stał, dziś stoi (o ironjo losu!) dom raka.

Ale i z zamku Mniszchów niewiele śladów pozostało. Dochował on się już jako ruina do czasów Józefa II. cesarza

austrjackiego. Za jego czasów wybudowano tam browar, resztą gruzów z ruin zasypano ogromne stawy królewskie, na których miejscu jest dziś targowica. Z wspaniałego zamku, jako dowód, że istniał, pozostały wały, które do dziś każdy może oglądać.

H. PELZERÓWNA, Pryw. Sem. Żeńsk.

DWIE KRÓLOWE.

Na winjecie okładki naszego pisma widnieje herb Sambora: jeleń, przebity strzałą i kwiaty na bagnisku. Zajął to mię o tyle, iż postanowiłem starą legendę Sambora zamknąć w słowa, w pieśń, nadać jej kształt wyrazny. A że nie znałem dobrze legendy, więc zacząłem poszukiwania, najpierw ustne — i oto się dowiedziałem:

Jeden mój znajomy stwierdził, że Sambor założyła Jadwiga i do niej odnosi się legenda; inny, że Sambor założył Spytko z Melsztyna, a legenda odnosi się nie do Jadwigi, a do królowej Bony. Począłem sprawę rozważać i ostatecznie postanowiłem tak: jeżeli Jadwiga, to piszę, jeżeli Bona — nie, bo królowej Bony nie lubię, a zresztą baśń moja, osnuta marzeniami, owiana zapachem drzew leśnych, powiędłych liści, barwiących się na moczarach kwiatów i wonią rozlanej świeżo krwi — baśń taka nie może być pisana o królowej — trucieli, o królowej, która okradła Polskę.

A zatem nic z legendy — pozostaje poezja rzeczywistości. I szkoda, że w chwili, gdy to piszę, ciemno jest na dworze i błotno. Oto poszedłbym teraz po Samborze oglądać ślady jego historii. Zaszedłbym może do byłego klasztoru Dominikanów, do starego kościoła parafjalnego; spojrziałbym może na renesansowy ratusz, a na cerkwi przeczytałbym słowa, pozostałe tam z przeszłości: „Deo et populo“. Wyszedłbym na planty miejskie, usiadłbym pod długowłosą brzozą i czekałbym na bohatera minionych czasów, na Spytkę z Melsztyna. Spojrziałbym w rycerskie jego oczy, pozdrowiłbym jego duszę wieczną.

Ale nie pójdę. Bo oto na dworze ciemno, bezksiężycowa, bezgwiazdna noc, a po ulicach wałęsa się wiatr ponury. Nie pójdę — bo i poco? Rycerz — bohater nie przyjdzie, a o ich

przeszłości posłyszeć dziś trudno — zgłuszyło ją szare życie.

Będę więc pisał o Samborze, jako o mieście współczesnem. Wyprawię się na wędrowkę i pójde szukać piękna, zakłętego w codzienne szaty.

— Sambor... Niekiedy wydaje mi się, iż osiã miasta jest „linja „A—B“. Po jednej stronie tej linji, gdzieś na północ, mieszczą się szkoły średnie, po drugiej stronie: kościoły. Cechami charakterystycznymi Sambora są: ogrody, mała ilość kamienic, a wielka ilość parterowych wil — oto cechy dobre. Nadto zaś: zła woda, błoto, targi — trzy wielkie nieszczęścia. Ale o tem pisać nie będę, gdyż wszelką złośliwość swoją zamknąłem do okutej skrzyni i w romantycznym nastroju wybrałem się na szukanie piękna.

Piękno... Pisał kiedyś Sienkiewicz, iż „świat jest piękny, ale życie jest płaskie i mdłe, i częstokroć miewa twarz małpy“... Co do mnie to teraz jest wiosna i wierzę, że życie jest piękne — wolę jednak pisać o tem, co jest piękne bezsprzecznie.

Wczoraj zmęczony wszedłem do „Ogrodu Sokoła“ i usiadłem na ławce. Gdy patrzyłem na widoczne stamtąd pola, w przestrzenną dal — doznałem wrażenia, jakby z owianych wiatrem wiosennym pól wstawały lekkie opary, które wiatr nawiewał ku mnie — czułem oddech ziemi, ciszę jej bezkresną i piękno.

Albo „Ogród miejski“... Istnieją tam miejsca, które lubię, drzewa, o których wspominam. Jest tam aleja, przy której rosną ogromne białodrzewy, czyli nadwiślańskie topole. Widok ich przypomina mi inny jakiś park i inne chwile. Gdy usiądę na ławce i spoglądam na tęgie pnie z grubemi w górze konarami, wówczas przez chwilę doznaję złudzenia. Oto wydaje mi się, że wróciły dawne chwile i dawne życie, przepełnione siłą i pragnieniami... W duszy drży chwilę półzał, półtęsknota, a potem rozchwije się i skona. A gdy znowu spojrzę na wysokie białodrzewy, wówczas widzę je zimne, bezlitosne, istniejące same w sobie, nawpół pogrążone w zimowym śnie.

— Niedaleko parku, za „Młynówką“, obok wjazdu na most przy ulicy Lwowskiej, widać las. Raczej nie jest to las, ale mały gaj nadrzeczny, zbiorowisko drzew różnorodnych. Są tam białopienne brzozy, sinawe osiki, olchy, wierzby i jesiony. Trudno podziwiać teraz bezlistne drzewa; stoją one nagie, oszarżate,

w blasku wiosennego słońca. Lasek ten trzeba oglądać w czasie późnej wiosny, w lecie lub jesieni. Albo też w zimie, wieczorem po zachodzie słońca. Wówczas las ten obejmują w niepodzielne władztwo kawki i wrony. Całe ich gromady zaczerniają oświeżone gałęzie i wrzaskliwie gędząc, kłócą się wzajemnie. Spłoszone ulatują w górę z szumnym łopotem skrzydeł i krążą nad drzewami, jak chmura.

— Poza miastem jest jedna tylko droga, mająca urok swojego piękna: szosa przemyska. Warto pójść tą drogą. Na lewo, wdali, widnieją wzgórza, porośnięte lasami zbłękitniałymi w sinawej przestrzeni, na prawo widać ciągnące się wzdłuż pasmo domów przedmieścia. Gościńcem idzie się prosto. Przy drodze stoją bezlistne drzewa: stare, rozczochrane lipy. Lipy i lipy, a wdali, gdzie droga się zniża, widać wierzchołki smukłych topoli.

Przy drodze, niedaleko obok siebie stoją dwa krzyże i kapliczka. — Dawniej, jak mówią, straszyło na tej drodze. Obok jednego krzyża stoją dwie stare lipy, które zdaleka wyglądają tak, jakby zrastały się w jedno ogromne drzewo.

Potem droga się zniża i skręca na lewo, a naprzeciw przed oczyma widnieją wysokie szczyty, od których wieje chłodny, górski wiatr.

Radzik Kazimierz, kurs V P. S. N. M.

OKOLICE SAMBORA.

Mieszkańcy Sambora powinni znać nie tylko samo miasto Sambor, ale też jego okolice, które posiadają dużo starych i pamiątkowych rzeczy. Spośród wielu miast i wiosek wyszczególnić należy: Dobromil, Felsztyn i Laszki Murowane. Dobromil jest to stare miasto, pamiętające jeszcze czasy Herburtów. Pamiątką z tych czasów są ruiny starego zamku, który niegdyś był posiadłością Herburtów. Zamek ten ma mury grube, dochodzące prawie do pół metra. W murach są małe otwory długości 15 cm, szer. 10 cm. Widać, że zamek musiał być obronny. Niegdyś był zamieszkały przez Herburtów, dziś stoją tam samotne ruiny, w których odbijają się echa głosów leśnych. Dokonała tego wojna. W murach zamku kryją się dziś tajemnice

przeżyć Herburtów i całego zamku. Niejedna wycieczka odwiedziła mury tego zamku, pozostawiając na nich wryte własne imiona. Zamek ten jest połączony tunelem podziemnym z zamkiem w Laszkach Murowanych. Niegdyś zamek ten należał także do posiadłości Herburtów. Dzisiaj zostały tam także tylko ruiny, należące teraz do hr. Krasickiego. Hr. Krasicki chciał te mury zburzyć i na tem miejscu postawić nowe. Opinia ludzka nie mogła jednak zgodzić się na usunięcie takiej pamiątki. Dokoła zamku rozłożyły się szczątki wałów, rowów i mostu zwodzonego. Według podania, w murach tego zamku i w ziemi dokoła znajdują się ukryte skarby Herburtów. Teraz zamek ten stoi samotny, niezamieszkały przez nikogo. Tylko od czasu do czasu zjawia się tam grupka ludzi, chcących zwiedzić stare zabytki. Do środka zamku trudno wchodzić, bo za lada wstrząsem cegły sypią się z góry. Dlatego można go oglądać tylko zewnątrz. Oprócz zamku w Dobromilu i w Laszkach Murowanych stoi w Felsztynie kościół i szkoła Herburtów. Kościół stoi na wzniesieniu i otoczony jest szczątkami wałów. Przed wojną kościół ten był o wiele ładniejszy; posiadał bowiem basztę „Herburtów“. Podczas wojny kościół został zniszczony, a z baszty zostały tylko ruiny, które doniedawna utrzymały się jeszcze. Dopiero gdy Polska odzyskała wolność, zaczęła odnawiać kościół. W roku 1928 dokończono odbudowy kościoła, a na miejscu baszty wystawiono dzwonicę. Podziemia kościoła kryją cenny skarb. Złożone są tam zwłoki ks. Biskupa Herburt. Ten, umierając, ofiarował swój pierścień na odnowienie kościoła. Kościół ten jest zbudowany w stylu gotyckim i nie posiada dawnej wieży. Z przedwojennych czasów zachował się tylko styl i szczątki murów. Dzisiaj jest on zupełnie odnowiony, a na pamiątkę przejść wojennych kryje w swoich murach złowieszczy wojenny granat.

Barbara Baszak, I. kurs Szkoły Zawodowej.

ZADANIE MAŁEGO STEFCIA.

O... o... o... opiszę Sambor.

(chrząka)... Sambor. —

O Samborze.
Opis Sambora.
Sambor.
W Samborze.

Sambor jest miastem.

Tak!

Jest miastem, które leży. Właściwie nawet nie leży, tylko stoi, ale stoi marnie.

Ale jeszcze właściwiej, — to Sambor stoi i leży, bo położenie jego jest takie, że wszystko leży. Oprócz tego Sambor znajduje się w Europie, ale o tem nie wszyscy wiedzą.

Ludność Sambora składa się z różnych narodowości. Prócz tego składa się na rozmaite dobroczynne cele, że się nie można w niedzielę na ulicy pokazać.

Sambor nie jest miastem rolniczem, bo Samborzanin ani sieje ani orze, a żyje, jak ptaszę boże.

Przemysł kwitnie również, bo każdy Samborzanin jest przemysłowy w naciąganiu na pożyczkę.

Dzięki temu — stosunki są — bardzo naciągnięte.

Kanalizacja.

Kanalizacja w Samborze jest szeroko i głęboko rozwinięta. — Odczuwa to wyższa sfera tutejszego społeczeństwa, — czego dowodem są narzekania np. „oj ta kanalizacja! Bodaj ją djabli wzięli. Porządny pijak nie może się nawet wygodnie w rynsztoku wyciągnąć!...“

Młodzież samborska zajmuje się szlifierstwem, inżynierją praktyczną i turystyką, szlifując bruki, mierząc ulice i podróżując po corsie tam i nazad, aż do znudzenia.

Roślinność.

Roślinność jest bardzo uboga. Najbujniej rosną ceny artykułów pierwszej, drugiej i trzeciej potrzeby.

Pozatem rosną długi, apetyty i pretensje.

Spekulacja kwitnie również bardzo wspaniale. Jak grzyby po deszczu, wyrastają ciągle nowe teatry i teatrzyki dla niedorostków i dla dorosłych.

Teatrzyki te sztucznie flancowane na skórze frajerów, wędną prędko wskutek..... nadmiaru powietrza na widowni. Teatr i sztuka jest u nas w Samborze bardzo wysoko postawiona, tak wysoko, że nie dojrzy ludzkie oko. — Pociąg do malarstwa i do rzeźby odczuwa się zwłaszcza w najniższych sferach tutejszego społeczeństwa, na Zawidówce, na Średniej, na Powtórnej i na Drohobyckiej, czego dowodem są wyrażenia popularne np.: „idź, bo cię zamaluję“! albo naprzykład:

„Jak cię wyrznię w pysk, to ci gips obleci!“

— — — — —
A teraz gmachy i budynki w Samborze.

Najwięcej mi się podoba wspaniała Rzymska łaźnia w Samborze przy ulicy Kraszewskiego, oraz „Koci zamek“ (koło kamienicy Kohana.

Sport.

Dziś sportowców u nas mrowie. Każdy ciało ćwiczy śmieie. Pomni dobrze na przysłowie; „W zdrowem ciele — zdrowe“...

— — — — —
Mistrz nasz słynny W. C. K. S.

Jakby go ukąsił pies.

Bo wielkości dostał manji

Chce wyjechać do Hiszpanji...

I nasz Dusiek morus chłop

Krzesze z piłki iskier snop,

Zaś techniki szczytu dopnie,

Gdy porządnie kogoś kopnie...

Bruno jeszcze w pełni sił,

Jeszcze bije wprzód i wtył.

Chociaż mówi wciąż dziewczyna,

Że siwieje mu... łysina...

Judasz, były bramek król,

Czuje w sercu straszny ból,

Bo w tym roku, fakt to znany,

Był coś zdetronizowany....

Binek książki rzuci precz —

Cudnie naprzód gra i wstecz.

Gdy wróg ujrzy go zdaleka,

Rzuca piłkę i ucieka....

Lolek, bramkarz niby kot
Każdą piłkę chwyta w lot,
Ale często ma przypadki,
Że ją chwyci, lecz już z siatki...
A nasz Staszek, też jest chwat,
Bo jest chłopcem w kwiecie lat
Choć plotka głosi złośliwa,
Że przed bramką się wykiwa...
Macie zuchów cały skład,
Strach na inne kluby padł!
Jednak powiem wam w sekrecie
Lepiej grają na... kłarnecie.

Pepi. — Mert. V. k. P. S. N. M.

Butyński Eljasz.

FILOZOFJA i MATURA.

(Feljeton).

Ktoś mi mówił, że filozofja jest matką głupców, a matura macochą filozofów. Jest to bezsprzecznie mądry aforyzm, choć, prawdę powiedziawszy, nie rozumiem go dobrze. Prostu nie zajmowałem się zbyt rozważaniami nad istotą filozofji i matury. Przypomniałem go sobie w chwili, gdy myślałem, o czym mam pisać w tym feljetonie. Hm... matura i filozofja. Dość dobry temat. Wprawdzie filozof nie bardzo wzrusza się maturą, a maturzysta zwykle nie ma pojęcia, co to jest filozofja, jednak można pisać.

Nie wiem co to za filozof wymyślił maturę. Oczywiście, tylko filozof mógł się zdobyć na coś podobnego. Normalny człowiek nie popełniłby takiego głupstwa. Musiał to być filozof pesymista i do tego mizantrop. Poczciwy filozof optymistą pisze 25-cio tomowe dzieło o prabycie duszy, lub o idealistycznym pojmowaniu wyrostków robaczkowych i wierzy, że ktoś będzie to czytał. Jakiś inny optymistą przeczyta to dzieło, zostanie pesymistą — ale naogół prabyt duszy i pojmowanie wyrostków robaczkowych nie zakłócają spokoju publicznego. Gorzej już

jest, gdy jakiś wyrostek (nie robaczkowy) uczy się, skuwa, cierpi, męczy się, bo jakiś tam sobie filozof wynalazł maturę. To słowo *m a t u r a* staje się koszmarem okropnym, jak dla zięcia teściowa, dla pacyfisty wojna, a dla porządnego człowieka... obstrukcja. Rozumie się, że myślę o obstrukcji sejmowej.

Ja osobiście jestem porządnym człowiekiem i nie lubię ani obstrukcji ani filozofii. Wolę już Zofję, ale bez tego przyrostka „filo“. Wolę Zofję, bo nie mają nic wspólnego z filozofją. Pewien mój kolega filozof, zakochany w filozofji i Zofji często nawet przez sen szeptał: „Słodka Filo-Zosienko kocham cię...“

Nie lubię filozofji może dlatego, że sam czasem filozofuję; niestety, bez powodzenia. Postanowiłem „odbronzowić“ filozofję.

Swego czasu — proszę państwa — żył w Atenach pewien staruszek, wabiący się Sokratesem. Ten starszy pan był bardzo mądry, mimo że nie miał matury. Czuł antypatję do pracy, a okropną sympatję do filozofowania. Siadał sobie na rynku, wygrzewał się w słońcu, popijał winko i filozofował. Zawsze miał rację. Każdy jego interlokutor okazywał się jołupem, który nic nie wie. Jednej tylko Ksantypy, żony, nie mógł przekonać. Baba miała swoją filozofję. Martwił się starowina, bo żadne syllogizmy i dylematy nie pomagały. Martwił się, gryzł i wreszcie dał się otruć. Wprawdzie historia podaje inne przyczyny otrucia, ale ktoby dziś wierzył historii.

Sądzę, że już sami zaczynacie wątpić o tem, czy Sokrates był największym filozofem. Primo: zawsze miała rację Ksantypa, a nie Sokrates; secundo: otruił siebie, a nie starą babę, co — przyznacie — każdy mądry człowiek uczyniłby na jego miejscu.

Otóż korespondent „Sportu“ powiedziałby, że Sokrates został zdyskwalifikowany, a Boy, że odbronzowiłem doskonale Sokratesa. *) A zresztą jeżeli bardziej wierzycie historii i Platonowi, niż mnie, to nie czytajcie mego feljetonu, tylko studjуйте dzieła Konfucjusza, Hoeńe—Wrońskiego, Jamesa i redaktora „Naszego Życia“, filozofów jeszcze dotychczas nie odbronzowionych.

Pewien filozof (znowu filozofja!) zapewniał mnie, że on i bez matury jest mądry, lecz nie wierzyłem mu. Nie wierzę

*) Uczynił to już Bruno Winawer w „Wiadomościach Literackich“ (Przypisek Redakcji).

nigdy filozofom i kobietom. Zwłaszcza kobietom—filozofkom. Chociaż Weininger (też filozof) pisał, że kobieta nie może być filozofką, ja jednak stanowczo twierdzę, że istnieje taki typek. Na miły Bóg, wystrzegajcie się ich moi państwo. Kobiety filozofki są okropne. Gorsze są od kobiet—poetek, złośliwsze od kobiet — adwokatek, nudniejsze od kobiet—nauczycielek. Nudne są jak matematyka, złośliwe jak krytyk teatralny, a pretensjonalne jak stary kawaler. Taka kobieta — filozofka nie tańczy, bo ma nagniotki, śpiewa fistułą, bo uważa się za godną rywalkę Ady Sari, krytykuje poezję, bo Sawan czy Brodzisz, w którym się skrycie kocha, nie jest poetą, tylko aktorem filmowym. Rozprawia o Schopenhauerze, mieszając go z Szopenem i nie wiedząc dobrze, czy on napisał „Krytykę czystego rozumu“, „Ecce homo“ czy „Zasady dobrego tonu“.

Raz na zabawie, zerwawszy „wszelkie stosunki dyplomatyczne“ z pewną dziewczynką, postanowiłem tańczyć z pierwszą lepszą. Obok zobaczyłem jakąś dziewczę. Nie przeczuwałem, że to kobieta—filozofka. Była nawet dość ładna, tylko nie używała pudru i nos uroczo opryszczony błyszczał jak wyfroterowana posadzka. Oczy zaś, niczem stado mustangów rozbiegały się na wszystkie strony. Jedno na lewo, drugie na prawo. Poprosiłem ją do tanga.

— „Och ja nie tańczę . . . chyba tylko poloneza“.

Wyraziłem serdeczny żal, że to tango, a nie polonez i chciałem odejść, odzyskawszy momentalnie dobry humor. Ale znowu pograżyłem się w rozpacz czarnej, jak koszula studenta filozofii.

— „Może pan usiądzie . . . Słyszałam od jednej koleżanki, że pan dość sympatyczny“.

— „No, tak . . . niektórzy mówią, że jestem d o ś ć sympatyczny, ale to nieprawda. Przeciwnie, jestem cynikiem, stoikiem, arogantem, filozofem, rozmawiam tylko o pogodzie, nie tańczę poloneza, pytam się panien, ile mają lat i kto im ceruje pończochy . . .“

— W takim razie jest pan interesujący. Cynik, który mówi o pogodzie i nie tańczy poloneza—to bardzo ciekawe zjawisko. Niech pan siada!“

Steroryzowany usiadłem, prosząc Boga, aby krzesło, na którym siedziałem, stało się krzesłem elektrycznym i ukróciło

męki. A „niewierna“ tańczyła śmiała się, gdy jej danser dreptał po palcach, szeptała mu coś do ucha. Zresztą, było mi już wszystko obojętne.

— „Wie pan, czytałam kilka pańskich wierszy . . .“

— „Bardzo mię to cieszy. Radzę jednak pani czytać je, aż w wydaniu pośmiertnem. Znajdzie je pani wszystkie odpowiednio poklasyfikowane“.

— „Pan żartuje, a ja mówię poważnie. Widzi pan, ja jestem k o b i e t ą — f i l o z o f k ą i jako taka odnoszę się do wierszy sceptycznie“.

— „Szkoda. Jest pani jedynym wyjątkiem na kuli ziemskiej“.

— „I radzę panu, aby pan pisał dramaty“.

— „Dramaty?“

— „Tak, to zupełnie naturalne. Tak jak Mieczysław Srokowski“.

— „Ależ Srokowski nie pisał dramatów!“

— „To nic, on jeszcze kiedyś napisze“.

— „Zdaje mi się, że on już umarł“.

— „Tem gorzej dla niego. A zresztą niech mu ziemia lekka będzie, chociażby za „Kult bogów“.

— „Może za „Kult ciała“?“ — szepczę cicho.

— „Właśnie . . . ale czy ciało, to nie bóg grecki—proszę pana? Wspaniałe ciało Apollina — opiewane przez filozofów“.

Dalej już nie słuchałem. Od tej chwili nie mogę znieść filozofji, filozofów i filozofek. „My kobiety—filozofki“ . . . Fe! Nie lubię ich, jak zupy pomidorowej. Prostu nie cierpię.

Kocham zato maturę. (Chciałem napisać „platonicznie“—ale, że to pachnie Platonem i temsamem filozofją, więc wolę maturę kochać inaczej). Śnię o maturze, myślę i marzę o niej. Kto wie, czy spowodu ogromnej miłości do matury nie będę jej zdawał trzy razy. Czasem pograżam się w filozoficznych rozważaniach, czem jest matura, i dochodzę do niefilozoficznych wniosków, że matura to poprostu rendez—vous. Zaczyna się tremą, a kończy się bez tremy. Biedny, młody facet przygotowuje się, poci, wykuwa różne formułki, frazesy i słówka, ubiera czarne ubranie, nawet wyjątkowo czysty kołnierzyk wydaje mu się czarny i idzie. Z tremą, lekkim drżeniem i dzwonieniem, wymytemi na taką uroczystość, zębami. „Psiakość, co będzie? czy przyjdzie?“ (Nie „ona“, lecz wizytator). Siada, stroi głupie miny, patrzy błędnie

i bąka coś pod nosem — zupełnie tak samo, jak na randce. A potem? . . . lekkie rozczarowanie. Nie jest znowu djabeł taki brudny, jak go malują na pocztówkach. A zresztą nowe życie. Grunt to frajda. Bawimy się panie ten . . . Wolno palić papierosy na ulicy, wolno na tej samej ulicy bić się, wolno nosić korporancką czapkę na bakier i lagę, co dodaje wiele elegancji i szyku. Wszystko wolno—moi panowie; Można gwizdać w teatrze i na odczytach, można obrzucać zgniłemi jajami prelegentów; przetrzepać ich trochę też nie zaszkodzi. „Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus“ . . .

Inaczej na te kwestje zapatruje się filozof, ale od czegoż jest filozof. Zawsze wszystko musi widzieć przez czarne binokle. Palić papierosy na ulicy, to nie wielka sztuka, bić kogoś niema sensu, bo wprost z ulicy można powędrować na komisariat P. P. (bez S), a co gorsze można samemu oberwać pałyga. Obrzucać prelegentów zgniłemi jajami nie opłaca się. Szkoda jaj — można je sprzedać restauratorom. A zresztą, aby takie hece wyprawiać, trzeba być akademikiem, a na uniwersytecie numerus clausus.

Precz z filozofją!

Zanućmy sobie przyjaciele „Gaudeamus“, wybijmy kilka szyb i kilka zębów i chodźmy na birbantkę.

Precz z filozofją, precz z preczem, precz . . . a zresztą grunt to małe piwko. „Pij, bij, pij bracie mój, bij rano, wieczór i w noc . . .“

Och! . . . naprawdę zapomniałem, że jestem uczniem. Nic nie wolno! Wolno tylko uczyć się i czytać „Nasze Życie“. — Mała to pociecha. Zapomniałem, że nie lubię bicia w łeb i bicia szyb, zapomniałem, że nie lubię jaj, zwłaszcza zgniłych. Małe piwko — to owszem, ale kto mi zafunduje?

Zdaje mi się, że zostanę filozofem, filozofem smutnym, jak ten feljeton.

POZNAJ SWÓJ KRAJ.

„Kto chce żyć wesoło, mile spędzać czas,
niech się krajoznawstwem z nami zajmie wraz.

Wycieczki — zwiedzanie, oto jest nasz cel —
Ojczyzny poznanie od Karpat po Hell“

Jedną z najbardziej dokształcających organizacyj jest „Kółko krajoznawcze“. Niema wprost słów na określenie, ile ono nam daje korzyści, ile jasnych promieni radości.

Wszystko to płynie z wycieczki i te zawsze witamy z wielką radością.

Źródłem tej radości jest wrodzona nam chęć podróżowania oraz pragnienie świeżych wrażeń, jakie płyną z obcowania z żywą przyrodą.

Wycieczka, to swobodna, nader piękna i owocna forma pracy — pracy, opartej na bezpośrednim zainteresowaniu. Praca zaś, oparta na zainteresowaniu, jest największą uciechą życia.

Wszelkie zwierzęta, rośliny, przedmioty widzimy na wycieczce w naturalnych formach.

Im kto więcej wczytuje się w tę żywą i otwartą księgę — przyrodę, ten coraz nowsze i ciekawsze odkrywa w niej myśli, znajduje w niej kopalnię wiadomości, widzi ją w coraz to nowszych i wspanialszych szatach.

Nie można nigdy tak dokładnie wystawić piękna niektórych zakątków kraju ani widoków, które oczarowują nas swem pięknem i bogactwem. Wycieczka więc to poznania rzeczywistych obrazów ziemi. Przez bezpośrednie zetknięcie się z naturą i tworami rąk ludzkich, odbieramy miłe i niezapomniane wrażenia.

Żadna książka nie da tego bogactwa wrażeń, jakie odbiera się przez bezpośrednie zetknięcie z przyrodą. Choć spotykają nas często przykre niespodzianki, liczne trudności — naogół powracamy pod miłym wrażeniem.

I często przebiegamy myślą przebyte szlaki, utrwalamy sobie w pamięci obrazy ojczystego kraju, rozkoszując się często ich pięknem.

Pewne chwile wycieczki głęboko wrzynają się w naszą duszę, dając nam miłe niezapomniane wspomnienia.

Prócz korzyści poznania, połączonego z rozrywką i zrozumieniem wielu zjawisk otaczającej nas przyrody — wycieczka może nam dać dużo korzyści natury moralnej.

Na wycieczce grupka działwy czy młodzieży szkolnej, oder-

wana od szarzyzny codzienności, pod bezpośrednim wpływem nauczyciela pracuje ochotczo i swobodnie.

Uwydatnia ona tu na łonie natury własne nastroje i swoje skłonności.

Wychowawca ma więc możliwość wszechstronnego poznania tak dobrych, jak i złych stron każdego uczestnika wycieczki.

W otwarte serca przyjaźń zaszczepia się łatwo, bo wszystkie dusze lgną do siebie, wytwarza się w gromadzie serdeczny i harmonijny nastrój, zacieśnia się węzeł koleżeńskiej miłości, tej dźwigni życia społecznego.

Każdy chętnie podporządkowuje się całości, całość zaś kierownikowi wycieczki, przez co wyrabia się posłuszeństwo i karność społeczną, a to zapewnia postęp w pracy.

Egoizm jednostkowy znajduje wyjście tam, gdzie zaczyna się interes całej gromadki — dobro społeczne.

Na wycieczce następuje zrozumienie solidarności i porządku.

Wycieczka to ochotcza praca zbiorowa, spajająca ze sobą nie tylko współtowarzyszy, ale całe gromadki dzieci w celu poznania ojczystego kraju.

Robienie notatek w określonym kierunku, wspólne spostrzeganie zjawisk przyrody, odkrywanie choćby drobnych jej tajemnic, ma wielką wartość uspołeczniającą.

Bliższe poznanie przyrody, kraju i ludzi, rozpala w sercach naszych przywiązanie do ziemi ojczystej, oraz rozwija szacunek dla ludzi.

Na wycieczce, prócz drogich pamiątek naszej przeszłości i arcydzieł natury, możemy poznać ciężką i znojną pracę ludzi.

Jeżeli zobaczymy nie na obrazku, ale w rzeczywistości, jak pracują wieśniacy czy górnicy, wtedy dopiero zniknie lekceważenie pracy fizycznej.

Przez obcowanie z przyrodą ojczystą i przejawami życia ludzkiego, zaszczepia się w nas uczucia miłości.

Pokochanie kraju jak i współobywateli ma wielkie znaczenie we współczesnym życiu. Miłość do kraju i współrodaków jest podstawą harmonijnego działania, ona rozszerza horyzonty myślenia, z niej też powstaje czyn.

Osobnik taki nigdy nie będzie działał na rzecz tej czy innej partji, ale dla dobra całego państwa.

Znając więc dobre strony i korzyści wycieczki, bierzmy w nich jaknajczęściej i jaknajliczniej udział.

*Prezesa „Kółka Krajoznawczego“
Szkoła Zawodowa.*

WSPOMNIENIA

(z wycieczki łodzią Sanem — Wisłą do morza w r. 1930).

Zaczął mżyć deszcz. Uczyniło się szaro i smutnie. Nie wesołe były nasze miny przy wiosłach — bo niby, jak się weselić, gdy spotyka nas coś takiego, co jest najgorszego na wycieczce — deszcz. Marzymy o postoju. Zaczyna padać coraz większy deszcz. Skaczą sobie kropelki po wiślanej wodzie, igrają po mętnej toni, a my mokniemy, jak drzewa na brzegu. Przez jakiś czas wokół nas tylko woda i brzeg zarosły wikliną. Jedyne od czasu do czasu słupy kilometrowe urozmaicają nam jednostajny krajobraz. Ale wreszcie z mgły wyłaniają się jakieś wieżycy. Przed nami stary Zawichost.

Przybijamy do brzegu. Stoją tu już dwa kajaki i jakaś licha płaskodenna łódź. Załogi nie widać, zapewne skryła się przed deszczem do olbrzymiej krypy, stojącej przy brzegu.

— „Kto pójdzie na ochotnika do miasta, bo ja nie mam ochoty?“ — odezwał się Romek. Nikt nie wyrwał się, ale wreszcie zdecydowałem się pójść mimo deszczu. Nęci mnie staruszek Zawichost. Zdarza się okazja, trzeba go oglądnąć! Krętymi uliczkami, koło fabryki krochmalu (tak!) idę do centrum miasta. A tam — aż ciasno od Żydów i to nie byle jakich — co drugi niemal ma jaglicę! Zakrwawionemi oczyma patrzą na mnie z ciekawością, aż wstręt bierze. Szukam jakiegoś sklepu, patrząc dobrze, czy kupiec niema jaglicy, ale nie na sprzedaż, tylko na swój wyłączny użytek. Znajduję wreszcie i kupiwszy igły do primusa, coś tam do zjedzenia — wracam. W czasie mojej nieobecności zdarzyła się katastrofa — złamało się wiosło. Trzeba naprawić! Idę po raz drugi do miasta, mimo że deszcz leje już dobrze.

Wracając, pytam się Romka;

— „Jak ci się podoba Zawichost?“

— „A, dziura i tyle, gorsza od naszego Sambora!“

— „No, pewnie“ — skwapliwie podchwytuję. Pocieszamy się przynajmniej tem, że są jeszcze gorsze miasta od Sambora. Deszcz ustał. Wyjrzało nawet słońce! Jedziemy dalej. Z wprawą prawdziwych żeglarzy, ku ogromnemu zdziwieniu stojących na brzegu wycieczkowiczów z Krakowa — zakładamy żagiel i popychani silnym wiatrem rychło oddalamy się od Zawichostu.

— „Spotkamy się w Warszawie“ — doleciało jeszcze do naszych uszu.

— „Dobrze, dobrze!“

— „Słyszycie — oni chcą się z nami spotkać, jadąc takim korytem, (niby łodzią). Ale mniejsza o to!“ Jazda rozpoczęła się wspaniale. Maszt pod naporem wiatru wygiął się w łuk; obawialiśmy się, że pęknie lada chwila, ale zato jechało się jak motorówką. Zostawał za nami jedynie szeroki szlak piany i wzburzonej wody.

Niedługo to jednak trwało. W pewnym momencie słońce skryło się za czarną chmurą, choć nawet niewielką — zaczął dąć ostry, przeciwny wiatr z silnym deszczem. Momentalnie łódź obróciło i zaczęliśmy pędzić z ogromną szybkością pod prąd ku brzegowi. Ja z Kazikiem uchwyciliśmy wiosła, chcąc pomóc sterowi, i tylko dzięki temu właśnie udało nam się uniknąć jakiejś poważnej awarii, jaka niewątpliwie byłaby nas spotkała, gdyby łódź pod naporem wiatru wypadła spod naszego kierownictwa. Skończyło się więc tylko na porządnym zmęczeniu, bo deszcz przez chwilę lał jak z cebra. Wypocząwszy chwilę po tak emocjonującym przejściu, ruszamy dalej. Wisła jest jeszcze nieco wzburzona, falująca, jakoś groźna.

Mimo nie pogody jest pięknie. Rozłożyste wiatraki, zszarżałe od wichrów i deszczu stoją na wzgórzach, u stóp których rozsiadła się wioska, otulona zielenią drzew. Tu i ówdzie na wysokim brzegu wije się ścieżka, gdzieś zdaleka doleci turkot wozu, a pod nogami zaszumi wiślana fala. I tak bez przerwy do wieczora. Na mokrym brzegu rozbijaliśmy namioty, nie zważając wcale na chłód. Nic się jednak nikomu nie stało, owszem wcale dobrze się spało. I znowu nastał dzień, wypełniony pracą nad zdobywaniem przestrzeni. Pozostawały za nami wsie, roz-

ległe pola z żółtymi ścierniskami, zarosłe brzegi, miasta, ruiny zamków, ciężkie żelazne mosty, ciche dopływy rzek, rozhukane wiry i szumiące tamy. A my wciąż niestrudzeni, żegnani ostatnimi blaskami zapadającego słońca, budzeni rosistym rankiem — posuwaliśmy się naprzód ku rojnej stolicy. Minął romantyczny Kazimierz z ruinami zamku Kazimierza Wielkiego, minęły Puławy, gród stary i piękny, ze sławną „Świątynią Sybilly“. Wokół krajobraz bardzo malowniczy. Wysokie brzegi z ruinami zamków, wiszące tuż nad urwistym brzegiem wioski (oderwane i podarte złoża żółtej gliny — a wszystko skąpane w powodzi słońca, radosne i świeże! Czyż jest coś piękniejszego i przyjemniejszego nad jazdę rzeką, gdy wiatr napina nowe płótno żagla i mknie się beztrudno, wesoło? Kto był choć raz na takiej wycieczce, ten mnie zrozumie.

Minęła ciężka i twarda twierdza Dęblin, nad którą unosi się całe stado stalowych ptaków — samolotów. Słońce łaskawe już dla nas — spalało coraz bardziej nasze skóry na brąz. Mijały nas statki, coraz częściej spotykane, tworząc duże fale, które nas kołysały niezwykle przyjemnie. Wisła już znacznie potężniejsza mimo ciągle niskiego stanu wody, toczy swe fale poważnie i spokojnie. Tu i ówdzie wyzierają do słońca olbrzymie ławice piaskowe, wśród których wije się szlak dla statków, wyznaczony tyczkami białymi i czerwonymi. Jesteśmy już niedaleko Warszawy. Dzień znowu jest pochmurny. Minęliśmy Górę Kalwarię z niezliczonymi wieżami kościołów i wjechaliśmy niejako na terytorjalne wody Warszawy, choć jej jeszcze nie widać. Po kilkugodzinnem dopiero wiosłowaniu z mgieł i dymów wyłoniły się olbrzymie wieże naszej stolicy. Jak okiem sięgnąć, wszędzie kominy, wieże, dymy i znowu kominy. Zdawało się, że już bez przeszkody dojedziemy do przystani harcerskiej na Wiśle. Tak się jednak nie stało. Przed samą Warszawą Wisła pokazała nam swoje rogi. Jechaliśmy pod żaglem. Wszystko było w porządku do czasu, jak dał pomyślny wiatr. Gdy ustał, rzecz naturalna żagiel trzeba było zwinąć. I to uczyniliśmy bez wypadku. Tuż niemal pod mostem Poniatowskiego wpadliśmy na taką falę, jakiej dotychczas nie spotkaliśmy. Łódź raz wynosiło wysoko w górę, by ją za chwilę rzucić z szumem na dno fali i tak na zmianę. Zrobiło nam się wszystkim jakoś niesamowicie. Silne

kołysanie trwało dość długi czas. Z trudem wywiosłowaliśmy na spokojniejsze wody, pozostawiając za sobą to niezbyt przyjemne dla jazdy miejsce. Jak się potem dowiedzieliśmy, w tem miejscu rozbiła się w ubiegłym roku jakaś wycieczka. No, ale nam się udało! Zresztą byliśmy już wcale opanowanymi żeglarzami.

Za chwilę łódź nasza kołysała się lekko, przywiązana do pomostu przystani harcerskiej. Prawie połowa drogi była już za nami. Rozbiliśmy namioty, bo zabrakło izb w przystani i wyładowawszy łódź, schroniliśmy się do naszych „mieszkań“, bo zaczął lać porządny deszcz. (Tak, to był bardzo porządny i przyzwyczajony deszcz!) Falą więc i deszczem przywitała nas nasza stolica Warszawa.

(c. d. n.)

Ka—Wu

P. S. N. M. im. Marszałka J. Piłsudskiego.

„WESELE W JAWOROWIE“.

(MOJE MYŚLI I WRAŻENIA).

Dwa dni przed osiemnastym marca dowiedziałem się od kolegów, że nasze „Koło miłośników sztuki“ daje w dniu 18 marca wieczorem przedstawienie p. t. „Wesele w Jaworowie“. Zaciekawiony już samym tytułem postanowiłem tę sztukę zobaczyć. Dzień 18. III. 1933. początek o godz. 20. Tak głośiły afisze. Jem pośpiesznie kolację, bo już za 5 minut godzina 20. Gonię olbrzymiemi krokami do „Sokoła“. Przepycham się siłą przez „hurme grandziarzy“, którzy cisną się do wejścia. Jestem u celu. Pukam do drzwi wejściowych — drzwi przemocą otwierają się i słyszę „urzędowy“ głos starszego kolegi — „bilet?! Co mam mu powiedzieć na taką brzydką propozycję?! Lecz namyślać się nie można. — „Kolego... ta... joj... ta ja tego...“ Ten widocznie „chłop z wiary“, mówi mi — „a prędzej leżcie, bo ta cała granda pcha się“. Tak znalazłem się na sali. Przedstawienie zaczęło się z małym opóźnieniem (1 godz.) Początek akcji był mi dość obcy. Widziałem na scenie dawną szlachtę, co już kilkakrotnie widywałem na innych scenach. Z biegiem akcji zacząłem wczuwać się w istotę tej sztuki. Szczególnie podobał mi się moment,

gdy na scenę wszedł cały orszak weselny wraz z chórem. Naprawdę podziwiałem te stroje, jakie nosi nasz lud z okolicy Jaworowa. Zdawało mi się, że jestem nie widzem na sali, ale rzeczywistym gościem na weselu wiejskim. Duch mój w tej chwili przeniósł się w strony rodzinne. Zdawało mi się, że ci nowożeńcy to są moi sąsiedzi, a cały orszak weselny, to przecie moi bracia i siostry z mojej rodzinnej wioski. Byłem na wielu już przedstawieniach, ale żadne tak dalece nie podziało na mnie, jak właśnie to. Ktoś może sądzić, że przesadzam w wyrażaniu uczuć, jakich doznałem w czasie tego przedstawienia. Zapewniam go więc, że nie przesadzam. W sztuce tej widziałem odbicie swego życia. To, z czym spotykam się często w życiu — widziałem na scenie. Trochę może odmiennie odbywają się ceremonje weselne w mojej wsi, ale zawsze widziałem na scenie wesele chłopskie tych chłopów, z których i ja pochodzę, a których to chłopów tak całym sercem i duszą pokochałem.

Konstanty Dydyński
kurs IV. P. S. N. M.

List z Kranzbergu.

POLITYKA NA „WESOŁO“.

Kiedy czytam tak aktualne dziś feljetony dr. Z. Nowakowskiego, nasuwają mi się mimowoli pewne myśli i refleksje, związane z Niemcami. Myśli te powoli krystalizując się, wlały się w „ciasne“ szpalty naszego pisma. Dlaczego ciasne?—recz osób kompetentnych, które niewątpliwie „pokapują“ się na tej aluzji!...

Ja zaś spokojny i pewny, że ta metafora nie będzie za słaba, pozwolę sobie snuć dalej mój zbrodniczy monolog, marząc o tem, cobym zrobił, gdyby tak „I. K. C.“ wysłał mnie do Berlina w celach napisania czegoś intymnego o Niemcach. Kto wie zresztą, czy nie jest gotowe to zrobić „Nasze Życie“ i wysłać mnie bodaj do Kranzbergu. Oho! czemużby nie! Co kraj, to obyczaj, co Kranzberg, to nie Düsseldorf, a co Kürten to nie Hitler. Co na to powie Nowakowski?

Ja też zachowam odpowiednią względem Niego i siebie dozę skromności, pozostanę wierny bezinteresownej, szlachetnej konkurencji względem „specy“ i zacznę omawiać Kranzberg względnie tamtejszych Niemców, idąc ex officio w zgodzie z wymaganiami nowoczesnej pedagogiki t. j. zaczynając od najbliższego otoczenia. Bo to zresztą Neudorf—Kranzberg nie są tak daleko od siebie.

„Kranzberg“ — co za elektryczne słowo! coś tak, jakby dzisiaj Olimpiada, Mac Donald albo Poczdam.

Nie wyobrażam sobie, jak wygląda Poczdam. Trochę próbowałem poznać go z fotograficznych zdjęć obecnego parlamentu Rzeszy, no i z psychologii Hitlera.

— Och! — być w Poczdamie — co za rozkosz — ciekawy jestem, jakiegobym doznał uczucia. Tfu! na psa urok! Przyznam się, że musiałbym tam głupio wyglądać.

Śniło mi się ubiegłej nocy, że będąc z p. Nowakowskim na otwarciu nowego parlamentu w Poczdamie — spotkałem Hitlera. On zaś . . . ten hultaj, godny żyć w epoce Regencji, przystąpił do nas i próbował nas psuć; — głosił socjal—narodowe hasła wspólności „Korytarza“, wyłożył nam projekt pogromu Żydów wspólnie z „O. W. P.“ w Polsce i rozwijał obszernie szwabską tezę:

„Not kennt kein Gebot“....

A propos narodowego socjalizmu, tego wprost niedorzecznego zestawienia dwu sprzecznych pojęć, omal nie palnąłem Hitlerowi argumentu T. Manna, zestawiającego epokowe dzieło Marxa! „Kapitał“ z ewangelją nar. socjalizmu „Moje Życie“ (nie „Nasze Życie“!) które, jak nazwał Mann, są „pomyjami literackimi najgorszego gatunku“. Powstrzymywało mnie tylko moje incognito: couche et—tut Nu.

Ach! Donerweter!! — całe szczęście, że zbudziłem się. Jeszcze. Do teraz trzęsie mnie, gdy uprzytomniam sobie ten głos, który stawia Niemcy na nogi, ten strój i użycie — trącające epoką Restauracji i to spojrzenie, jakieby mu malarz kazał przybrać, robiąc jego portret przy równoczesnem wymawianiu słów, słowami Horacego: „Jam pomnik sobie wzniosł

— od spiżu trwalszy“

*

*

*

Tak się zawsze składa, że nigdy nie wyjeżdżam na żadne widowiska zagraniczne w rodzaju uroczystości narodowych, ale mam tę przynajmniej zaletę, że potrafię lepiej od najlepszych korespondentów agencji Wolfa uzmysłowić i odtworzyć sceny danych atrakcyj czy widowisk. Zazdrościć mi może tej zalety nawet sam Nowakowski (zarozumiałość!).

Ot na przykład, jak doskonale na falach mojej wyobraźni utrwaliłem sobie w pamięci jedno z przemówień Hitlera do swoich zwolenników:

(Hitler silnie napuszony):

„Już w gruzach leżą polskie posady,
Naród ich dźwiga okowy.

(Hitlerowcy): Zwolennicy Twoi! Polaków pragnąc zagłady,
Ostatni włos rwią ze swej głowy.

Heil Hitler!

(Słysząc okrzyki na cześć Hitlera—po uspokojeniu się tłumów Hitler przemawia dalej ze łzami w oczach).

Do ziemi rzymskiej pójde o głodzie
I o pakt czterech poproszę

(Zwraca się we wschodnią stronę z podniesionymi pięściami i grozi):

Nie ciesz się jeszcze polski narodzie,
Ja stamtąd cholerę przyniosę!

Hitlerowcy wrzeszczą: Heil Hitler! Gott strafe Polen!!!

— Horribile dictu! — przekleństwa tracą siłę wobec takich rzeczy. Prostu czysty dramat, który jakkolwiek cienko trąca poezją i rzekomo stoi na silnych podstawach — lubi od czasu do czasu błądzić po zaczarowanych krainach mrocznego ideału...

J. Romański, kurs V. P. S. N. M.

Zamarty na wsi piosenki!

Gdzież owe chwile, w jakich wyrastało dziecię wiejskie pod wpływem czaru muzyki i śpiewu?

Dziś tylko poeci wspominają jeszcze o tych pastuszych fujarkach, jakie wśród gór, lasów i łąk płakały lub rozweselały

duszę. Zniknęły już owe precudne melodje popularnych ludowych piosenek, jakimi matka kołysała do snu swoje dziecię lub jakie rozlegały się wieczorami letniami przy wiejskich chatach. Pod wpływem tych pieśni kształtowała się dusza, rodził się hart oraz zamięłowanie do życia, do otoczenia, które wyrażano w pieśni wesela lub smutku. Minęły owe czasy smętnych melodyj wiejskich. Smutek bezbrzeżny rozpostarł swe skrzydła po polach, lasach, łąkach i zagrodach wiejskich. Cisza przepojona smutkiem owładnęła wszystko dookoła, a zamiast pastuszych fujarek i ludowych piosenek panuje wszędzie pustka, nędma i trwoga przed czemś przyszłym, nieznanym . . .

A ciszę tę przerwie gwizd dzikiej nowoczesnej piosenki, często bezwstydną, która duszę wiejską wyradza i zatracą w przepastnych krainach występku.

Czyż muzyka i śpiew dziki, zmysłowy — uszlachetni duszę ludu?

Nigdy! W tych pieśniach niema duszy, lecz dzika krwiożercza potęga chęci użycia, jaką narzucili światu osobnicy, przepojeni lenistwem, występkiem i jałowością melodyj, chcący zniszczyć wszystko, co piękne, miłe i klasyczne.

Ale długo nie będzie panować owa zła potęga, spychająca naród na drogę występku, bo lud ocknie się z odrętwienia dotychczasowego i znów nadejdą chwile śpiewu swojskiego, piosenek ludowych, sielankowych, gdzie kryje się potęga miłości do wszystkiego, co polskie, ojczyste.

Znowu ożyją pieśni, wysnute z duszy wiejskiej pastuszej, polskiej, które będą rozbrzmiewały radością i smutkiem po zagrodach, dodając wieśniakom otuchy oraz siły do pokonania przeciwności na trudnej drodze życia.

Marja Michalewicz

ucz. III. kl. Pryw. Śred. Szk. Zaw.

KĄCIK HARCERSKI.

Ćwiczenia polowe III. drużyny harcerskiej.

„Bracia skauci dosyć kurzu“... rozlega się wesoły śpiew. Któż to śpiewa? To III. samborska drużyna harcerska zdąża na

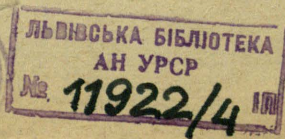
ćwiczenia. Gromada zuchów kroczy wesoło pod przewodnictwem druha Junikiewicza... „Gromada na moją komendę stój“. „Proszę druhow, mamy ten las strzec przed nieprzyjacielem, dlatego obstawimy las tak, aby pozostali harcerze nie mogli się przekraść w głąb lasu“. „Cha cha cha cha, toż oni nie są nieprzyjacielem, toż nasi bracia druhowie“. — „No tak, tylko to są ćwiczenia“. „Aha! no to do dzieła“. — „Rozciągnąć się w tej linii i cicho skryć się i czekać na nich, a uważać, by nikt nie został złapany. Druh niech idzie na drzewo i pilnie uważa. Czekać cicho i cierpliwie na nieprzyjaciela!...“

Wkrótce słychać drugi śpiew. „Wszystko, co nasze, Polsce oddamy...“ Cóż to, czy to druga drużyna — nie, to drugi zastęp kroczy naprzód. Lecz cóż oni robią. Po chwili do uszu mych doleciał głos. „A no druhowie jesteście teraz na mostku, gdziebyśmy zostawili znak indyjski, ale tak, by nie znalazł go nieprzyjaciół; a równocześnie by nasz oddział mógł go spostrzec“. „Cha-cha-cha to wielka sztuka — odzywa się jeden ze starszych harcerzy — ot tu zboku zostawić znak, nasi powinni znaleźć“. „No tak! ale, jak będą mieli głowę na karku“. ...Cicho... sza... tu w lesie może być nieprzyjaciół, powoli i ostrożnie się przekradać, aby nikt was nie złapał... „Uch już jest nam lżej, cały las przeszukaliśmy i nigdzie nieprzyjaciela nie znaleźliśmy, no teraz założymy sobie obozowisko i odpoczniemy... A no druhowie, może który zna jakie hece, tak abyśmy się rozweselili“. „Druhu! melduję, że nieprzyjaciół się zbliża“. Zastępowy zbliżał, nie wie, co się z nim dzieje, wreszcie padł rozkaz „Kryć się“. „Druhu zastępowy to jest heca, bośmy cały las przeszukali i nieprzyjaciela nie było i niema“. „Udało się druhowi — no, no dziękuję za takie hece“. ...Nasi skauci są morowi. Nie boją się, jak niema nieprzyjaciela, ale jak usłyszą wyraz jeden jedyny „Nieprzyjaciół“, to dopiero portkami telepią i zwykli zastępowi tracą głowy — to dopiero heca. „No jak myślicie druhowie, czy ci, którzy nas szukają, znajdą nas“. „Cha-cha-cha, powinni znaleźć, a na co mają głowy“. — „Na wszy... stko...“. „No, no! druhu już była jedna heca naco nam drugiej. No teraz jesteście bezpieczni“. — „Druhu o jest znak“. „Jak się druh nazywa“. „Czajkowski“. „Dobrze! bardzo dobrze, trzeba druhowi zapisać 2 kreski“.

Gdy usłyszał to jeden z harcerzy, wlaź pod most i szukał

znaków. „Co druh tam robi“?, „Szukam znaków“. „Jaki druh na-
iwny — jak jest jeden znak, jak może być drugi“. „No tak
druhu, ja szukam, by dostać 2 kreski“. „Cha—cha—cha! To druh
dopiero teraz szuka, jak zacząłem zapisywać kreski—na wojnie
druh będzie szukał“. „E na wojnie to co innego“. „Powoli się
przekradać i uważnie. Do mnie druhowie, czy widzicie tam dym
dalejże przekraść się tam“.... Druhu wodzu! a gdzież są zuchy,
przecież ich niema w całym lesie“. Opiekun drużyny robi prze-
straszoną minę: „A gdzież zuchy druhu wodzu“. „Ach druhu
proszę się o nich nie obawiać, oni są w lesie“. Druh Twardy
i druh Bezeg, do mnie. Druh pójdzie na prawo, druh na lewo,
a ja wprost. Szukać zuchów. Kto znajdzie, niech da znać gwizd-
kiem“. „Rozkaz druhu przyboczny“.... Stój, stój, stój. W mgnie-
niu oka zostałem okrążony przez zuchów. „Otośmy druha zła-
pali, no ile kresek druh zapisze“. „Druhu Junikiewicz cóż to, gdzie
druh miał stać. Rozkaz był skryć się 50 m. w głąb lasu od
strony cegielni, a gdzież druhi stał. Zastęp za mną marsz“. Ga-
łęzie trzeszczały pod stopami harcerzy...“ Zastęp stój, druhowie
wiedzicie ten dym, biegiem tam“. „Hura—hurra—hurra! Pełno
gwaru i krzyku w lesie. „A co druhu Opiekunie, nie mówiłem
że oni są w lesie“... „Druhowie, niech każdy weźmie sobie kromkę
chleba“... W kociołku zostało jeszcze kilka skórek, których nie
zjedli młodszy druhowie. „Druhu opiekunie może sobie zrobimy
jedno zdjęcie“... Wszyscy się ustawili a z pomiędzy nich wy-
różniał się druh Junikiewicz, który trzymał baniaczek z pozo-
stałymi skórkami dwoma rękoma. Druh Junikiewicz, aby nie
stracić zawartości z baniaczka prędko siadł na czoło i mocniej
trzymał baniaczek... Następnie odbyły się ćwiczenia zastępu za-
stępowych, po których to ćwiczeniach drużyna wraca ze śpiewem:
„Już zachodzi czerwone słońeczko“. Drużyna maszeruje przez
wieś. Drużynowy i przyboczny zostali z tyłu. „Druhu drużynowy,
możebyśmy tak wstąpili na mleczko. „Zgoda“. „Druhu! druh ma
kapelusz opiekuna, niech druh włoży na głowę od tej chwili
jest druh doktorem“... „Gospodyni macie mleko“. „Niema“. „Gospodyni toż pan doktor czeka, chce się napić mleka“. „Ta“
joj... ta proszę zaczekać, może gdzie będzie mleko... Proszę po-
wiedzieć panu doktorowi, że jest mleko“. — „Druhu a więc
grajmy rolę“.

B. Uchman.



PK



0,10

Ж 11922

4

Skład Redakcji „Naszego Życia”.

NACZELNI REDAKTORZY:

Pelzerówna Helena = Pryw. Sem. Naucz. Żeń.

Radomski Tomasz = I. Państw. Gimn. Męskie

CZŁONKOWIE REDAKCJI:

Karwacka Janina = Pryw. Śr. Szk. Zaw. Żeń.

Królówna Stefanja = Pryw. Sem. Naucz. Żeń.

Piwnicka Janina = Pryw. Szkoła Handlowa

Krukiewicz Stefan = Państw. Sem. Naucz. Męskie

Radzik Kaz. = Państw. Sem. Naucz. Męskie

ADMINISTRACJA:

Kozłowski Paweł = I. Państw. Gimn. Męskie

Korcz Władysław = Państw. Sem. Naucz. Męskie

Adres Redakcji: I. Państwowe Gimnazjum

Adres Administracji: Państw. Sem. Naucz. Męskie

Wydawca: Komitet Wydawniczy.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Święch Czesław.

A. Józef Metzger
Z drukarni Józefa Metzgera w Samborze.

70396

Rok I. Sambor, maj-czerwiec 1933. Nr. 5-6.



M I E S I Ę C Z N I K

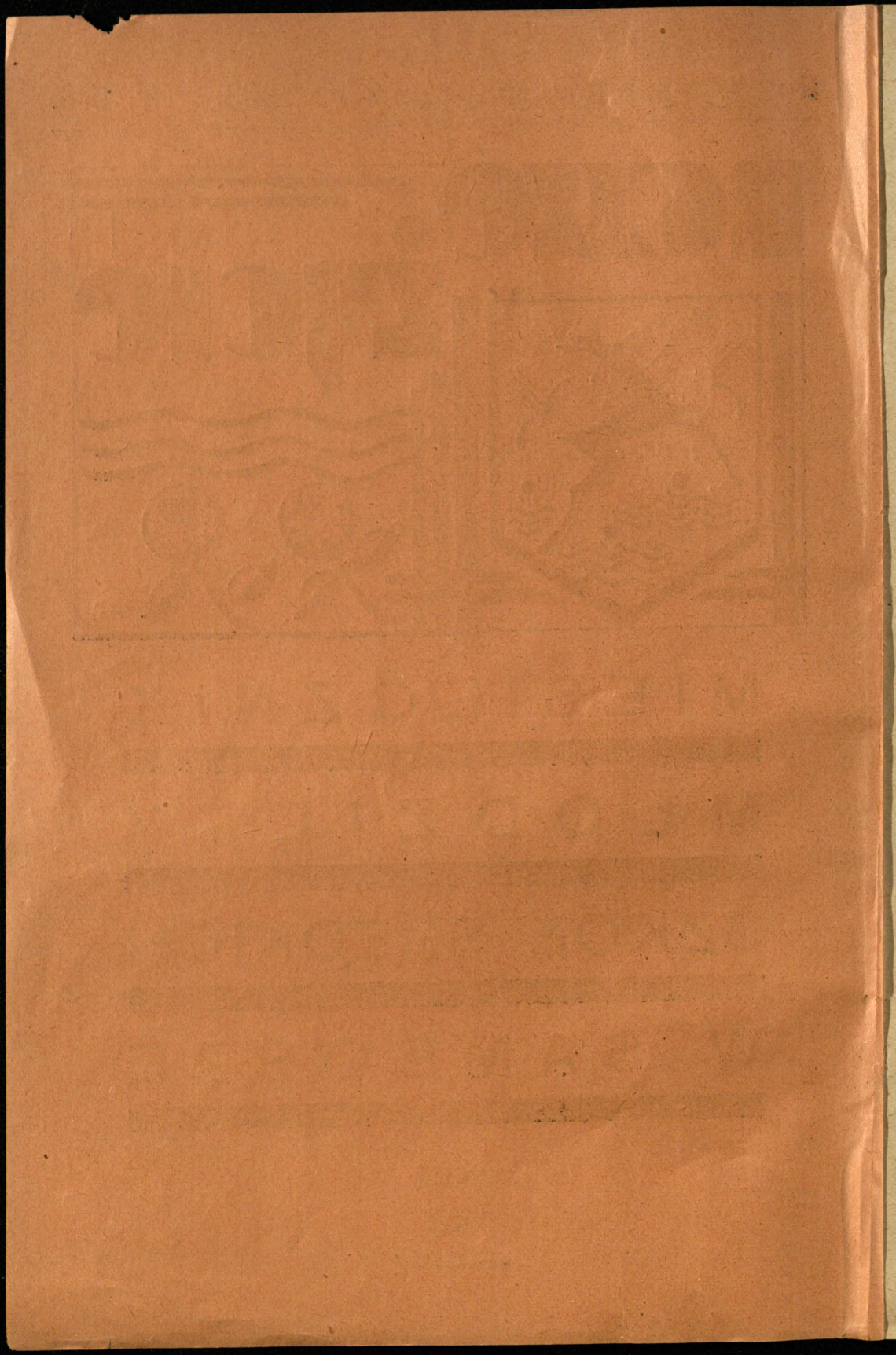
M Ł O D Z I E Ż Y

S Z K Ó Ł Ś R E D N I C H

W S A M B O R Z E

CENA
30
GROSZY

pag. 343
11/11/50



NASZE ŻYCIE

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich w Samborze.

VALE, SCHOLA.

O czym tu dumać na samborskim bruku . . .

Parafraza Mickiewiczowskiego wstępu do „Epilogu” „Pana Tadeusza”, nasunęła mi się podczas „szukania tematu” do napisania mego ostatniego artykułu w „Naszem Życiu”. Tematów znalazłem tyle, że wkońcu istną kaskadą pomysłów i kompozycji przewalały mi się przez głowę, waliły w zmęczoną za nimi gonitwą myśl, przelatywały błyskawicznie całemi zdaniami i ustępami, trzymając przez nerwy kilkadziesiąt minut w wysokim napięciu. Niema dwóch zdań, że w analogicznym położeniu znajdował się nieraz niejeden z Was, Szanowni Czytelnicy. Z tego chaosu tematów wybiera się zwykle jeden, który uparcie się o to upomina. Mnie teraz wyjątkowo nasuwały się wciąż tematy o szkole, o życiu szkolnem, o tej „mordędze” w „budzie”, o radosnem społeczeństwie sztubackiem. I niewdzięcznikiem okazałbym się wielkim, gdybym próbował mówić, że nie wiem dlaczego tak jest. Wszak „za dzień, za chwilę razem nie będzie nas” i nam, wyhodowanym i wypieszczonym przez szkołę, zostanie tylko wspomnienie.

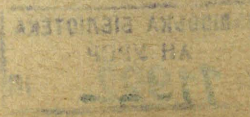
Rosną w nas serca i sztubacka дума się podnosi na myśl o przyznaniu nam „dojrzałości”; radość strumieniami w piersi się przelewa, że niezapługo będziemy zupełnie wolni, a równocześnie napływa cichutko, niepostrzeżenie żal za tem, co było, za tym ośmioletnim okresem wspólnego życia, wspólnych radości i zabaw, wspólnych trudów i borykania się z pracami szkolnymi, żal za tem, że to wszystko już nigdy, nigdy nie wróci w takiej bezpośredniości, w tak prosto odczuwanej formie, że ta piękna szaloność, hamowana dziś czynnikami rozumu — należeć będzie wkrótce do przeszłości.

Przypominamy sobie wszyscy ten dzień, gdyśmy przed ośmiu laty weszli w mury naszej szkoły, z bojaźliwą czią spoglądając na marsowe twarze profesorów i „panów“ z ósmej klasy, nie mogąc się dopatrzeć ani joty podobieństwa między nimi a nami. Dziś zajęliśmy sami ich miejsca i ze zdziwieniem spostrzegamy, jak szybko minęło te 8 lat.

Ileż to dni przepłynęło na ogromnej fali życia, dni pozornie monotonnych, podobnych do siebie tylko fizjognomją. Dziś mam wrażenie, że ani jeden z nich nie był do siebie podobny, bo każdy co innego niósł z sobą i składał w nasze młode dusze i serca, kształtując niepostrzeżenie i rozwijając inteligencję. Każdy dzień zespalał nas wszystkich, zacieśniał węzły przyjaźni, stwarzając jedną rodzinę, nad którą czuwali wciąż nasi wychowawcy. To braterskie współżycie kilkudziesięciu młodych łbów w klasie i poza nią, te wspólne „zwycięstwa i klęski“ w stosunku do naszych prześladowców, to chyba najpiękniejsza rzecz w życiu całym.

W szkole są niezawodnie różne typy, różne indywidualności, lecz jest coś w każdym z nas, co nas czyni do siebie bardzo podobnymi, coś, co nam wszystkim nadaje ogólną cechę „sztubactwa“. Mam naturalnie na myśli to idealne sztubactwo, uświetnione tradycją, pielęgnowane przez wszystkie pokolenia uczniów, to sztubactwo, bez którego właśnie nie byłoby przedmaturycznej tremy, a potem szerokiego oddechu po złożeniu egzaminu i takiego „dojrzałego“ (a naprawdę jeszcze sztubackiego) powiedzonka: „Matura, to nic“.

Zaczyna się to w pierwszych dniach pobytu w „budzie“, a kończy—no, przyznam się, że naprawdę nie wiem kiedy, jak nie wiem, czym już przestał być sztubakiem. Nieokiełzany element dziecięcej radości, „robinzonada“, zachłystywanie się powieściami Verne'go, Mayne Reyda, Umińskiego i Karola May'a, „apaszowskie“ kluby „czerwonoskórców“, wybijanie szyb szkolnych piłką nożną i wzajemne „koleżeńskie“ spuszczenie krwi z nosa, bezpłatne urządzenie dantejskiego piekła na korytarzach, rzeźbienie scyzorykiem ławek, potoki atramentowych łez i zawzięte powtarzanie klas — oto pierwszy, najbardziej typowy okres „sztubactwa“, ten, który niejeden raz wspomnieniem w życiu zagra, wywołując dziwną naprawdę tęsknotę, jakby romantycznego



„miłego smutku“, o którym wspomina Brodziński. Albo znów ten słynny, nieoceniony „wiek cielőcy“, wprowadzający z sobą jakieś prymitywy uczuć, nastroje i chłopięcą refleksję. Zaczyna się to naturalnie od pierwszej „dozgonnej“ miłości do „wymarzonego od wielu lat ideału“, częstokroć o 10 lat starszego, którym się zapełnia wszystkie godziny historii czy matematyki i wszystkie przedrzedane w nadnaturalnie platonicznej miłości lekcje. W ślad za tem wybucha jak gorący gejzer, ogromny talent poetycki, bazgranie cudaczych (t. zn. cudownych), lecz natchnionych wierszy. Przypominam sobie, jak to się zakładało na skronie wieńce laurowe, aż się na samą myśl o tem zielono we łbie robiło. Na formy łacińskie czy greckie spoglądało się naturalnie z lotu ptaka. Sytuację ratowały bryki. Niejeden z nas błogosławi dziś dobrego znajomego Zuckerkandla ze Złoczowa za jego 30-tu groszową bibliotekę „Klasyków rzymskich i greckich“. Szczególnie wtedy, gdy się każdy z nas po raz pierwszy kochał. — A teraz jedna rzecz: jeżeliby ktoś z Was do tego się nie przyznał, nie nazwałbym go pełnowartościowym uczniakiem, lecz nazwałbym go w szkole snobem, a w życiu niezdrowym sceptykiem i opozycjonistą. A jeśli się ktoś z tem nigdy nie spotkał, niech żałuje, bo mu naprawdę uciekły dni, a on z nich nic nie wyzyskał; można o takim powiedzieć, że był w Rzymie, a papieża nie widział.

Dziś, po 8-letnim okresie tego życia zmieniliśmy się niezawodnie bardzo; pod wieloma względami w niczem nie przypominamy tych Stefców, Antków, Józiów, Romców czy Tomców z drugiej czy piątej klasy, mamy ustalone poważnie cele życiowe, bo w to życie idziemy i jesteśmy tego świadomi, lecz jest w nas jeszcze ogromna doza sztubactwa, ale sztubactwa, skoordynowanego z czynnikami rozumu i namysłu, tego sztubactwa, co krwi w żyłach każe żywiej pulsować i ze swej wysokiej trybuny krzyczy: „carpe diem“, tego, które jest teraz ową radosną i silną mądrością życia. I śmiem twierdzić, że ten czynnik jest koniecznym, bo gdyby go brakło, w naszych piersiach byłyby nie młode, ale stare — dwudziestoletnie serca. I dlatego właśnie do szkoły zawsze się wspomnieniem poleci, obok Koleżeństwa, dała nam bowiem radosną dawkę Życia.

Największa zasługa przypada naszym wychowawcom, bo

tem życiem tak mądrze kierowali. I niech mi będzie wolno na tem miejscu, w imieniu nas wszystkich, za ich trud, za to wykonywanie cudów w szarym dniu pracy, za to ciche bohaterstwo i naprawdę ojcowską opieką nad nami (dziś widzę, że tylko taką zawsze była) niech mi będzie wolno złożyć Im serdeczne podziękowania.

— — — — —

Budo! zamykają się za nami na zawsze twoje drzwi, a ty wysyłając nas w świat, wyciągasz ku nam błogosławiące ręce, jak matka do ukochanego syna. Żegnając ciebie, żegnamy lata w twoich murach spędzone, tę butę dziecięcą, którą napełnialiśmy ogromne sześciany klas z pokrajaniami przez nasze scyzoryki ławkami, te dnine radosne i te zimne poty, które nam występowały na czoła podczas „klasówek“.

Żegnaj nam Vergiliuszu Maronie i ty ślepy pieśniarzu Homerze, żegnaj cudowny micie o słonecznej Helladzie. **Vale, schola!**

RADOMSKI TOMASZ kl. VIII.

SOCHA ALBIN kl. VIII.

CHWILKA ZADUMY.

„Upłynęły szkolne lata,
Błogi, pełen złudzeń czas.
Dziś przed Wami ogrom świata,
Życie, Polska woła Was...“

Przez tyle lat, z których każdy obfitował w całe bogactwo przeżyć, wysiłków, wyteżonej pracy, tworzył łańcuch, który był okresem zdobywania wiedzy i urabiania charakteru, a zarazem okresem dzieciństwa i najpiękniejszej wiosny życia, sprawiającej, że trudy dnia codziennego stały się dla każdego z nas radosnym — doszliśmy wreszcie do celu, jakim jest matura.

— — — Matura! tyle najróżnorodniejszych i najsprzecznějších uczuć doznaje się na dźwięk tego wyrazu. Ponad wszystkim jednak i u wszystkich dominuje strach i trema przedmaturyczna oraz pragnienie, aby jak najprędzej przejść przez

to piekło i być wreszcie wolnym... być poza „budą“, poza przepisami i regulaminami szkolnymi, stanąć na progu, za którym kryje się Życie... o którym się tyle przez osiem lat marzyło, do którego się dotychczas tylko przygotowywało.

— — — Stojąc na progu życia i nowych obowiązków, trzeba pożegnać to, co minęło i co mimo wszystko — tak drogie było, bo jak Staff powiada „...najmilsze jest to, co się traci“...

— — — A traci się na zawsze to „Nasze Życie“, w którym my, młodzież byliśmy słońcem, dokoła którego wszystko się obracało. My byliśmy powodem trosk rodziców w domu, z pełnem poświęceniem kierowali i wzbogacali nasze umysły wychowawcy w szkole, a rola ich nie kończyła się tylko na troskliwej opiece w szkole.

— — — Pożegnać trzeba „budę“, ten drugi dom, gdzie się przeżyło tyle chwil „górných“, gdzie się prześniło tyle snów o życiu na jawie — pożegnać trzeba klasę, wypełnioną nami po sufit i każdy kącik, — nie zapomnieć o ławie, do której wróci się kiedyś po latach wspomnieniami, których motywem będzie tęsknota za swą młodzieńczą, naiwną, pełną polotów podniebnych — duszą.

Pożegnać wreszcie trzeba kolegów, z którymi dola i niedola życia szkolnego, przez tyle lat dzielonego, tak ściśle nas zespoliła.

— — — Żegnając cały ten Świątek szkolny, dotychczasowe „Nasze Życie“, poświęćmy Mu parę chwil zadumy i idźmy w przyszłość z wiarą młodości, której zawsze przyświeca ideał.

A — — — choć Wam życie wśród cierpienia
Kwiat urojeń zacznie rwać,
Wciąż kochajcie te złudzenia,
Które każą żyć i trwać!

BUŁYŃSKI ELJASZ.

„Znów maj jest ten sam“.

(Feljeton).

Mógłbym ten feljeton zacząć tak, jak się zaczyna nudną bajkę: „Żył sobie dziad i baba. On był dziadem, jak wogóle

każdy dzisiaj urzędnik, a ona babą, zwykłą rozpyskowaną babą. Był prócz dziada i baby maj, miesiąc, w którym i t. d....“ Mógłbym też zacząć stylem wielce wykwintnych powieści p. Mniszkówny: „Hrabia Ferdzio—nonszalanckim ruchem, pełnym wrodzonej elegancji, zerwał kartkę z prawdziwego kalendarza. Ku niemałemu swemu zdziwieniu, które przechodziło w rozkoszne obłąkanie, stwierdził, że jest maj. Wspomniał piękną leśniczanek Fruzję, która siedzi teraz napewno w swym buduarku z epoki rococo albo empire w krep mongolowej sukni i wacha herbaciane róże (może kawowe? hr. Ferdzio już zapomniał), róże specjalnie sprowadzone do tego wążania z Biaritz“.

Feljeton ten byłby elegancki i podobałby się pannom. Ale naprzekór wszystkim zacznę tak, jak się zaczyna zadanie szkolne: „Maj jest najładniejszym miesiącem. W maju każdy młody człowiek jest trochę zwarjowany, a człowiek stary porządnie zwarjowany. Kobiety bez różnicy wieku i płci są przez cały rok zwarjowane. W maju pisze się wiersze, które łudząco przypominają masło majowe, bo są żółte i rozlaźle. Niegdyś pisałem i ja wiersze nastrojowe, a raczej rozstrojowe. Kochałem się w dziewczynce, która miała wszelkie dane, aby zostać ideałem. Niestety, nie umiem grać na mandolinie i nie mogłem urządzić jej serenady. Musiałem jakoś zamanifestować swoje uczucie. Trenowałem się więc w pisaniu wierszy, choć to zupełnie nie należy do przyjemności.

Był maj. Mówiłem o dobroczynnym wpływie wiosny na duszę, nerwy i reumatyzm. Mówiłem, że maj to balsam, a serce to jedna rana albo strup. Specjalnie moje serce rozdarte jest na kilkanaście kawałków i tylko ona jedna mogłaby je uleczyć. „Daję pani słowo, że serca krążą w chaosie jak małe błyszcząco-krwawo-czerwono-promieniujące płomyki, gdzieś w falach eteru łączą się i wybuchają płomieniem ogromnej miłości“. Oczywiście taka prelekcja o błyszcząco-krwawo-czerwono-promieniujących płomkach, sercach i płomieniach wywoływała skutek zupełnie przeciwny, aniżeli się spodziewałem. Byłem nierozumiany, jak wogóle większość ludzi subtelnych i „mimozowatych“. Ale nic, umiem cierpieć w milczeniu, co wprawdzie nie sprawia takiej przyjemności, jak wycie z bólu lub bicie głową o ścianę i inne dramatyczne gesty. Nizałem fioletowe słowa na błękitną

nić poezji, wyszukując rymów dźwięcznych, jak tenor chory na zęby, lub subtelnych, jak dziewica w nieokreślonym wieku. A potem przychodził ten dzień, który absolutnie powinien być dniem historycznym. Spotykaliśmy się — ja i ona. Była w dobrym humorze, bo udało jej się rendez-vous z moim rywalem, z którego chętnie zrobiłbym befszytk. Czułem, że ogarnia mnie lekki obłęd, przewracałem uroczco oczy, jak amant na filmie i deklamowałem bardzo przyjemnie, jękając się:

Ty jesteś jak krzak, kwitnący na łące,

A usta twoje to róże pachnące —

Więc wargi swe jak płatki róż

Na usta moje złóż.

Gdy skończyłem deklamować, czekałem, aż ona zachwyciona, zamaszystym ruchem, padnie w me objęcia i omdlewając z zachwyty, szepnie: „O mój trubadurze, pójdz w moje ramiona i usta swe na moje usta złóż“. Czekałem pięć minut — nic, czekałem dziesięć minut — nic. Wreszcie wstałem i odszedłem. Odchodziłem w nieznaną dal, niosąc krwawiące serce w kieszeni, a zranioną duszę pod pachą.

Do-djabła!... wszystkiemu winien był maj i poezja. Poco ja deklamowałem? Lepiej było bujać, że zdobyłem rekord w stumetrówce, że sknokautowałem mistrza boks, że skaczę do wody, jak szczupak. Wtedy ona napewno powiedziała by mi: „O mój stumetrowy bokserze, skocz w me objęcia, jak szczupak do wody“... A tak?... ech, lepiej nie wspominać.

Maj jest dobry dla słowików, a poezja dla starych panien. Dziś już zmieniłem zdanie. Uważam, że maj jest dobry dla starych panien, a poezja dla słowików. Maj jest dobry dla starych panien, bo mogą marzyć o tem, że pod wpływem wiosny zwaruje jakiś księżę zagraniczny, w gorszym wypadku jakiś amant filmowy, porwie je i drżące uwiezie... do ołtarza. Poezja jest dobra dla słowików, bo mogą słuchać wierszy zupełnie nie denerwując się. Poezje można deklamować, ale na wieczorze poetyckim to jest policyjnie dozwolone. Niedelikatnością zaś jest recytować wiersze — swoje do tego — osobom prywatnym. Dziś to rozumiem. Gdybym to kiedyś rozumiał, to nie musiałbym zmieniać obiektu swego ubóstwiania. Gdy ktoś deklamuje mi swe natchnione wiersze, zaraz staję się Hamletem i pytam

siebie: „Bić czy nie bić“ tego gościa?

Zawsze jestem zdania, że powinien być specjalny poradnik dla zakochanych uczniów. Sądzę, że Ministerstwo W. R. i O. P. mogłoby się zająć tym projektem zupełnie poważnie. A więc: nie wolno uczniom pisać wierszy, nie wolno ryc monogramów dam serca na ławkach, nie wolno wykradać z parku kwiatów dla osób ubóstwianych, nie wolno truć się czerwonym atramentem.

Wolno natomiast zbić rywala na ciemnej uliczce, nie zakłócając przytem porządku publicznego, wolno spowodu choroby sercowej nie przychodzić w maju do szkoły, wolno też kochać się w kilku pannach odrazu.

Rozumie się, że to są uwagi ogólne. Byłby osobny rozdział, jak się powinno prowadzić konwersację. Oto przykład. Jest maj. Wieczór pachnie, jak perfumy Houbiganta, słowiki śpiewają, wyciągając z gardziołek wysokie c, księżyc świeci (księżyc musi świecić).

— Patrz, jak księżyc ładnie świeci!... — szepce ona.

— Fi, co tam księżyc. Właśnie mam zamiar w najbliższej przyszłości wyjechać rakieta na księżyc. Oczywiście, nie jest to rakietka tenisowa, tylko międzyplanetarna. Z przyczyn ode mnie niezależnych nie będę mógł wziąć cię ze sobą. Kochanie. Przywiozę ci za to ichtiosaurusa, mamuta lub złoty zegarek.

— Ach, to byłoby sympatycznie. (W tem miejscu powinna się ona przysunąć do niego na znak uwielbienia). Ale, gdyby tak rakietka rozbiła się?

— To nic. Skoczyłbym na spadochronie.

— Z księżycą na ziemię?

— Tak, albo z ziemi na księżyc. Cóż to dla mnie znaczy. Ona uśmiecha się, jak Monna Liza lub panna na reklamie Kaldontu. Jest cudownie. W marzeniach wędrują po księżycu, jak Dafnis i Chloe, albo Tristan i Izolda, albo Romeo i Julja, co kto woli. A wszystkiemu jest winien maj, miłość i poradnik dla zakochanych.

Tak panowie, trzeba umieć rozmawiać. Gdy ona mówi, że rosa ładnie błyszczy w promieniach księżycowych, to nie trzeba sadzić się na porównania i mówić: „Tak, kochana, ślicznie błyszczy, jak twoja cera“. Można mówić o cerze, ale na... pończosze. To już jest w lepszym tonie. Gdy ona mówi: „Czarujący

wieczór, aż serce silniej bije ze wzruszenia“, to się buja: „A propos wieczoru i silnego bicia. Właśnie wczoraj wieczorem zbiłem jednego faceta, który powiedział, że ty masz krzywe nogi“. To wywołuje efekt i można zupełnie tanim kosztem zrobić się bohaterem. Popyt na bohaterów zawsze jest duży. Bohater ma powodzenie, bo zwykle jest trochę głupkowaty, a mężczyźni głupkowaci są uwielbiani przez kobiety. Nie chcę tego twierdzenia udowadniać filozoficznie, bo to byłoby nudne. Nie jestem znowu tak wielkim bohaterem, by zdobyć się na nudny feljeton.

Ktoś dowcipny powiedział, że w maju budzi się dziwna tęsknota za czemś nieznanem, dalekiem. Tak, to prawda. Chce się gdzieś uciec na łono natury, a szkoła znów ciągnie na łono natury. Ach, ta matura altera natura. Gdy się wspomni o maturze, to można ze szczęścia zwarjować. Lepiej więc nie wspominać i tak mamy wielu warjatów. Najniebezpieczniejszym typem jest warjat zakochany, warjat w maju.

Łbie, fermentujący majem, rozdziawiona gębo, połykająca słońce, fermentuj dalej majem, połykaj sobie słońce! Gdy nie masz co do roboty, urządzaj serenady pod oknami ludzi nerwowych, zaczepiaj policjantów, tylko nie pisz poezyj, nie kochaj się i nie udawaj tragika. Ucieknij ze szkoły na pole, opalaj się, fikaj nóżkami i chwal Rousseau'a za jego boski wynalazek, za powrót do natury.

Gdy kiedyś po latach będziesz starym, podagrycznym gratem, opowiesz wnukom bajkę: Żył sobie dziad i baba. Tym dziadem będziesz ty. Może przypomnisz sobie głupiutką pio-senkę „znów maj jest ten sam“. Maj będzie ten sam, ale nie dla ciebie reumatyczny przyku.

Dziś, fermentujący łbie, rozdziawiona gębo, opalaj się w słońcu, fikaj nóżkami i podziwiaj ten feljeton, który jest z takim wdziękiem napisany.

Nauką i pieniędzmi drudzy cię z bogacą

Mądrość musisz sam z siebie własną dobyć pracą.

Mickiewicz.

LEOPOLD OLENIUK I. kurs.

Mój największy bieg.

Zapanowała cisza...

Dwudziestu czterech czeka
Na moment komendy,
Na strzał, który się zwleka.

Publiczność również czeka.
Zainteresowanie...
• Niejeden już narzeka.

Strzał...
Wydłuża się powoli —
(To ruszyli biegacze)
Barwna wstęga rywali.

Wtem leader „milczący“
Narzuca ostre tempo,
Został tam ktoś od końca.

Rozciągnięta w szereg
Jest falanga biegaczy

— — — — —
Sędzia popatrzył na zegarek.

Zbliża się zakończenie...
Na przedostatniej prostej
Jedyne wyminienie.

— — — — —
Wśród entuzjazmu widzów
Zaczynam „ostry“ finisz,
Zyskuję metr,..... pięć metrów.

Jeszcze jeden sprint, a już
Wyminę jako pierwszy
Metę, bo meta tuż, tuż.

ŁUKAWSKA HALINA kurs III Sem. Żeńsk.

WYWIAD Z BRODZISZEM

Z CYKLU: NASZE REPORTAŻE.

Nasze miłe miasto jest pod wrażeniem przyjazdu gwiazd i gwiazdorów świata artystycznego — jak głoszą afisze.

Ja osobiście nie jestem zbyt tem wszystkiem przejęta. Po prostu dlatego, że mam tyle innych zajęć i kłopotów. Zresztą mniejsza z tem! Co kogoś obchodzą cudze interesy, a ty przeżyły czytelniku pewnie już tłumisz dyskretne ziewanie, mierząc okiem wytrawnego krytyka literackiego powyższy długawy wstęp do rzeczy właściwej. No, ale trudno! Autorom przysługują tak rozliczne prawa, że musisz się z tem pogodzić.

Ale zaczynam. Dzisiaj już po wszystkim — to znaczy po odjeździe gwiazd na dalsze tourné, a serca płci pięknej biją normalniejszym tętnem. Pozostały jednak echa — wspomnienia. Idę ulicą, aż tu ktoś chwyta mię za rękę.

„O Irka! Jak się miewasz?“ — wołam w wielkiej radości, widząc koleżankę, z którą rozstałyśmy się jeszcze jak wczoraj!

„Dobrze“ — brzmi lakonicznie odpowiedź.

Patrzę na wesołą Irkę, no i odkrywam nadzwyczajne rzeczy. Oczy Irki błyszczą mocno, usta drżą, jakby mi chciały wyjawiać niezwykłą tajemnicę.

— „No i cóż słyhać?“ — zadaję popularne, a nieodzowne pytanie — „Słuchaj“ — wpada mi Irka — „powiem Ci coś — no, ale ani mrumru! Bo to tajemnica“.

— „Dotrzymam sekretu“ — zapewniam tonem, niebudzącym cienia wątpliwości — „tylko już mów“.

Irka nabiera w płuca tlenu i zaczyna:

— „Jak wiesz, był tutaj Brodzisz, mój ulubieniec ekranu. Ach! postanowiłam uczynić wszystko, by przynajmniej parę słów z nim zamienić, nie mówiąc już o autografie. Myślałam długo nad dojściem do swego celu, aż wkońcu wymyśliłam. Jak wiesz dobrze, wydajemy szkolną gazetkę, mamy bardzo solidną redakcję (i kosze), pomysłówych?! autorów, własnych korespondentów i licznych prenumeratorów — słowem, świetna i poważna organizacja. Ja — niestety, tak nie jest, bo sprawiedli-

wość spi — mogłabym być doskonale reporterem naszego pisma, jako że mam specjalny dar do wywiadów i wyszukiwania sensacji. Wpadłam na pomysł pozostania, choć na chwilę reporterką. Ułożyłam sobie mowę i sposób postępowania. A więc idę ze starszą koleżanką dla dodania powagi swej misji do samego boga ekranu — Brodzisza. Wchodzę na nadzwyczaj uprzejme „proszę“ i mamrocze wstępne słowa, mające na celu dodania mi odwagi do właściwej przemowy.

Następnie wyrzucam z siebie szybko: „Jestem proszę pana, reporterką naszej gazetki, która jak pan słyszał zapewne, znalazła rozgłos i uznanie wśród szerokich mas naszego społeczeństwa, a nawet u pesymistów, którzy patrzą cośkolwiek zezem na nasze młodzieńcze poczynania. By nie zawieść nadziei, pokładanych w naszej młodej organizacji, musimy mieć odpowiednio zajmujące artykuły, a czyż może coś tak zainteresować publiczność, jak n. p. garść szczegółów o życiu takiego gwiazdora i bohatera (kinowego oczywiście) jak pan?“

Uśmiech na twarzy Brodzisza. Podzięką za miły komplement, wyrażony nieśmiało przez zakłopotaną studentkę. A potem znówu ja: — „Jak panu podobało się nasze miasto? Jakiemi znajduje pan zainteresowania artystyczne samborskiej publiczności? i t. d. i t. d. zależnie już od toku dalszej rozmowy. Wkońcu proszę o autograf i odchodzę z uwagą Brodzisza, że nasza redakcja musi chyba doskonale prosperować, mając tak świetnych reporterów i z życzeniem powodzenia oraz ze zdjęciem, które umieścimy na łamach naszego pisemka. (?) Oto w ogólnych zarysach moja bohaterska wyprawa, a co za tem idzie podziw u koleżanek, hołd dla mojego sprytu i t. p. miłe rzeczy! — Tymczasem...“ usta Irki wykrzywiają się pogardliwie „Jak krótko trwają złudzenia“ — „Tak! Gdy krokiem przyszłego zwycięzcy kroczyłam do przybytku sztuki, ujrzałam Brodzisza, jak siedł z Bogdą, która jest podobno jego żoną i to nierozumnie zazdrosną—do cukierni. Rzuciłam mu spojrzenie, pełne goryczy i poszłam do domu, trawiąc po drodze bardzo udały wywiad.“

Westchnęłam ze współczuciem — „Nie przejmuj się Irko! Tak widać chciał los!“ A w duchu pomyślałam: mam już artykuł!

Wprawdzie zrodzony z rozczarowania i cierpień Irki, ale jest.

A Irka i tak będzie sławną — nawet nie zmienię jej imienia.

NA MARGINESIE.

Poświęcenie sztandaru szkolnego gimn. I.

Przed trzema tygodniami przebiegła iskrą elektryczną pierwsza wieść o sztandarze gimnazjum I., wieść, która słodkimi wzruszeniem napawała serca nasze, a zarazem niepokojem jakimś i troską o ów dzień, w którym miała się odbyć tak wielka dla gimnazjum I. uroczystość tj. chrzest sztandaru. Niepewność rosła, gdyśmy spoglądali w poważne oblicza profesorów, chcąc odgadnąć przyczynę śladów tajemniczej powagi. W gmachu tymczasem zapanował ruch i ożywienie. Przez trzy długie tygodnie trwała praca pod kierunkiem administratora całej imprezy p. prof. Wczelika w celu godnego uczczenia tego święta.

W przeddzień uroczystości, w powodzi słońca, stał gmach nasz ozdobiony zielenią, wstążkami i znakami państwowej flagi, spoglądając dumnie oczyma okien na zdziwionych mieszkańców miasta. Przed budynkiem brama triumfalna, której ramiona odziane w białą brzoźową korę, podtrzymują wstęgę, obramowaną zielenią. Na bramie lśni napis „Witamy“. To witamy najmilszych gości uroczystości naszej p. kuratora Gadomskiego i naczelnika wydziału O. S. L. okręgu lwowskiego p. Jusa, którzy przed 11. godz. przyjechali autem ze Lwowa. Na twarzach miłych gości wyraźnie maluje się zadowolenie, które udziela się całemu gronu profesorskiemu z dyrektorem na czele.

W samym gmachu tymczasem gorączkowe podniecenie skupia w powadze starszych kolegów. Niedługo to jednak trwa. Tłumiona radość wybucha i ogarnia wszystkich swym rozkosznym tchnieniem. Przed wieczorem, chcąc zaakcentować, jak drogi nam jest jutrzejszy dzień, defilujemy przy dźwiękach marszu orkiestry 6. p. s. p. przez rynek naszego miasta, przed oczyma nieprzejrzaney masy publiczności, która z zadowoleniem, graniczącym z podziwem, spogląda na zwarte czwórki defilujących. O godzinie 8-mej wieczorem, staraniem „Koła Rodzicielskiego“ odbyło się w „Sokole“ przedstawienie „Zemsty“ Fredry, pod kierunkiem znakomitych naszych reżyserów w osobach p. prof. dr. Książyńskiego i p. Letzy. Przedstawienie zaszczy-

cili swą obecnością p. kurator z p. naczelnikiem wydziału. Jednak i tym razem nie obeszło się bez półtoragodzinnego, tradycyjnego opóźnienia spowodu nieprzewidzianych przeszkód. Następnego dnia, jako właściwe święto, przyniósł nam wiele emocyj i wzruszeń.

Po uroczystym nabożeństwie w kościele OO. Bernardynów, w którym wzięła udział wszystka młodzież szkół samborskich, i po defiladzie przed władzami, zgromadziliśmy się wszyscy na boisku sportowym P. W. i W. F., gdzie odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru przez rz. kat. ks. prof. Żołnierczyka i gr. kat. ks. prof. Bilińskiego, w obecności p. kuratora i nacz. wydz. Podniosły i wzruszający nastrój zapanował w czasie przemówień ks. prof. Żołnierczyka, p. Piskozuba, dyrektora naszego zakładu, p. adw. dr. Wojtasiewicza i kol. Kozłowskiego z kl. VIII.

W gorących przemówieniach starano się nam przedstawić znaczenie i ideę, związane z sztandarem, symbolem wiary, jedności i siły. Wzruszeni staliśmy, słuchając w skupieniu słów, które niejednemu odtwarzały w wyobraźni słyszane lub czytane w historjach sceny z czasów minionych, z czasów Polski królewskiej, kiedy to sztandar polski powiewał od Bałtyku po morze Czarne, kiedy to każdy gotów był życie za sztandar oddać.

Po uroczystości wbijania gwoździ rozeszliśmy się wszyscy do domów. O godzinie 13-tej odbył się w auli gimnazjalnej wspaniały obiad dla gości, na którym nastrój, początkowo sztywno-urzędowy, przemienił się szybko w ożywienie radosne, młodzieńcze. Entuzjaści rozkoszowali się, wspominaniem momentów z uroczystości poświęcenia, która ślad jakiś niezatarty została w sercu każdego uczestnika.

Na zakończenie uroczystości odbyła się przy licznych współudziale kolegów i koleżanek szkół średnich zabawa tańeczna w salach własnych.

WACHUŁKA ZYGMUNT kl. VIII.

REPETA.

(Z życia w internacie).

Nie wiesz, co to za przyczyna,
(Bo i skądbyś wiedzieć mógł)

Tej radości, co się wszczyną,
Wśród której ktoś kogoś stłukł.

Nie usiedzisz już za stołem,
Choćbyś dobył wszelkich sił,
Na kolację wszyscy społem
Ciagniem, wszak już dzwonek był.

Jak huragan branza wali;
Krzyczy, gwizdże, co ma sił,
Ktośby myślał, że się pali,
Nie wiedząc, że dzwonek był.

„Wszystko fuk, bo dziś kielbasa“
Mówi do mnie Jędrek „Smok“,
Na tę myśl popuszcza pasa,
Ja go zaraz pięścią w bok!

Ten jakby na kirchparadę
Nowe portki na się wdział;
Tamten pisać chce balladę
O kielbasie, którą zjadł.

W drugim kącie warjat jakiś
Z tej uciechy wlażł pod stół,
Któryś krzyczy: „Janek takiś?“
Ten znów ryczy niby wół.

Już okienko się otwiera;
Przezeń bucha pary kłęb,
Każdy wzrokiem je pożera,
Na kielbasę ostrzy ząb.

Masz nareszcie porcję swoją
Z miejsca atakują ją,
W mig talerze puste stoją,
Jakbyś wymiótł, tak się szklą.

Myślisz, że już koniec bracie,
Toż dopiero pierwsza część;
Wszak repeta czeka na cię;
Tu już wiele znaczy pięść.

Jak do szturmu bractwo goni,
Miast oreża talerz ma,
Rzekłbyś, że to stado koni
Tak się do okienka pcha.

A jeśli ci szczęście sprzyja,
Znowu pełny talerz masz,
Choć w tem była krzywda czyja,
Ty repetę w siebie pchasz.

„INTERNISTA“ P. S. N. M.

„REFORMA SŁOWNIKA”.....

„Reforma słownika” — co za szumny tytuł! Jak ktoś ten tytuł przeczyta, to rzeczywiście może zapyta się z uśmiechem, co to za „reformatorka” i jaka to „reforma”. Zaraz — zaraz... zaspokoję ciekawość, bo przecież nie jestem tak nieładną, abym zezwoliła na to, by kogoś z mojej przyczyny ciekawość „paliła”. Bo przecież ja wiem, co to jest ciekawość i wiem, że najlepiej zaraz ją zaspokoić, ale czy zawsze? — Nie! bo na przykład teraz droгим czytelnikom odrazu nie mogę powiedzieć, ale za chwilę (proszę łaskawie o odrobinę cierpliwości). Przenieśmy się do szkoły. Zaznaczam, że najwygodniej będzie do szkoły, bo jestem uczennicą, więc mogę o szkole powiedzieć dużo pięknych i ciekawych rzeczy, które są w łączności z tą „reformą”. Wejdźmy na trzeci kurs, bo jestem uczennicą tego kursu, no i co tu zobaczymy? Przedewszystkiem nowe piękne firanki, dwie tablice; jedna do geometrii, a druga „tak do pisania”, no, ale nie oto mi chodzi. Wprawdzie nasze firanki są bardzo ładne, możnaby nawet osobny artykuł o nich napisać, ale firanki są zawsze firankami..... zajmijmy się lepiej uczennicami, bo one mi nasunęły na myśl tę „reformację”, a nie firanki.....

Teraz właśnie jest historia, możnaby jeszcze zaznaczyć, że to bardzo przyjemny przedmiot. Uczennica „śpiewa, jak słowik”, a pan profesor uważnie słucha. No, dobrze, **ale** proszę mi powiedzieć, w którym to było roku? Uczennica nagle przestała „śpiewać”, (całkiem, jak nie słowik) zarumieniła się, przygryzła usteczka, załamała palce na ławce i nic.

W tej właśnie chwili pomyślałam o tej „Reformie słownika“. Każdy czytelnik z uwagą czytający ten artykuł wie, co było przyczyną tego, że biedna uczenica przestała „śpiewać“. Żeby jednak długo się nie namyślał, to ja powiem: „Tą przyczyną było słowo „ale“, no dobrze, ale ktoś, kto lubi rozumować, powie tak: Przyczyną tego nie było wcale słowo „ale“, lecz to, że uczenica nie nauczyła się tej daty. Ale ja także lubię rozumować i ośmielę się powiedzieć, że jednak tą przyczyną było jedynie słowo „ale“.

Czasem za mało jest powiedzieć, trzeba i udowodnić. Dobrze, zgadzam się na to, bo ja bardzo lubię udowadniać. Dowód mój brzmi następująco: Jeżeliby (bo tak się zwykle dowody zaczynają) p. profesor nie wypowiedział słowa „ale“, to uczenica nie musiałaby odpowiadać, bo i tak nie wiedziała, lecz ponieważ p. profesor użył tego słówka „ale“, to na nieszczęście dowiedział się, że uczenica tej daty nie zna. No dobrze, jeżeli już tak długo o tem „ale“ mówimy, to koniecznie trzeba by z niem coś zrobić. Tak, ja zaraz na historii o tem pomyślałam. Najlepiej będzie, gdy wykreślę to „ale“ z mego słownika. Właśnie od tego ma zacząć się „Reforma słownika“. No dobrze, cóż mi z tego przyjdzie, jak ja sobie wykreślę? Koniecznie trzeba by, aby ze słowników p. profesorów to słówko wykreślić, bo przecież to słówko czyni spustoszenia nietylko na historii, ale i na innych godzinach. O tem słówku nie jeden uczeń i uczenica mogłaby dużo, dużo smutnych rzeczy powiedzieć, więc drodzy czytelnicy, bądźcie tak uprzejmi i zastanówcie się, jakby przeprowadzić tę „reformę“. Teraz przecież idzie maj, więc dużo natchnienia... może ktoś wpadnie na dobry pomysł, to i więcej takich słówek wykreślimy. Kończąc, życzę pomysłowości w pomysłach.

„JAŚMIN“ ucz. III. kursu sem. żeń.

Jeden dzień w szkole ćwiczeń.

Już kilkakrotnie miałem dyżur w szkole ćwiczeń. Dyżur ten zawsze przechodził mi zwykle, prozaicznie, bez tych przygód, o których tyle słyszałem od kolegów starszych tak, że na-

wet zacząłem wątpić w prawdziwość ich opowiadań.

Teraz jednak już wierzę wszystkim....

Było to 13 marca. W dniu tym miałem zakończyć tygodniowy dyżur w klasie trzeciej. Zaraz od samego rana zaznaczyła się feralność tego dnia.... Nasamprzód wstałem lewą nogą..., przy śniadaniu wylałem kawę na ubranie kolegi... wkońcu spóźniłem się na dyżur.

Nieraz, gdy nie było 13-tego, człek spóźni się o 15 minut i nikt nie zauważy, a teraz spóźniłem się zaledwie o 3 minuty, a p. prof. E.... już zapisał do notesu, co znaczy tyle co: obniżenie noty ze sprawowania się i z praktyki i drugi tydzień dyżuru.

Od tego zaczął się mój „dzień w szkole ćwiczeń“.

Dyżur przed godzinami upłynął spokojnie. Chłopcy jeszcze nie okazywali zdenerwowania, dopiero przychodzili... niektórych jeszcze nie było... Ci — którzy już przyszli, półgłosem opowiadali sobie, jak spędzili ostatnie popołudnie... Zwolennicy piłki nożnej debatowali na tak poważne tematy jak, kto „gra lepiej: Staszek Toth czy „Judas“, kto „dostanie“, gdy „Korona“ będzie grała ze „Strzelcem“ i t. p....

Od czasu — do czasu debaty te przechodziły w lekki krzyk. Wtedy upominałem o spokój, dzieci ucichały i tak przeszło do dzwonka na pierwszą godzinę.

— — — Zupełnie spokojnie przeszła mi pierwsza i druga przerwa. Chłopcy „mazali“ tablicę, ochlapywali się wodą, a przytem wszystkim krzyczeli. Ja stałem pod piecem i również krzychałem... żeby się uspokoili. — Tak minęła mi pierwsza i druga przerwa.

— — — Do trzeciej przerwy zdołałem już nieco zatrzeć w pamięci to przykre wrażenie, spowodowane uwagą w notesie p. prof. E.... Ponieważ trzecia przerwa trwa aż 15 minut, kazałem dzieciom wynosić się na korytarz (na dworze padał deszcz), i przewietrzyć klasę.

Dyżurny z klasy piątej został w klasie, ja zaś pełniłem dyżur na korytarzu. Chłopcy „gonili“, jak opętani.

Przez pierwszą i drugą przerwę porobili zatargi, teraz wyrównywali „zaległości“. Uwagę moją zwróciła na siebie grupa chłopczyków, którzy bardzo energicznie okładali pięściami jakiegoś wyrostka. Odpędziłem napastników, a ze „śledztwa“ do-

wiedziałem się, że bili go za to, że nie chciał zwrócić drugiemu chłopczykowi przegranych siedmiu guzików.

Zajęty czynieniem zadość sprawiedliwości, nie mogłem oczywiście zwrócić uwagi na inną grupę niemniej rycerskich „bachorów“, którzy podzielili się na dwa obozy (Polaków i Niemców), zwalczające się nawzajem przy pomocy linijek.

Oczywiście wszystko to było tylko zabawą i byłoby pozostało zabawą, gdyby nie to, że kilku zapaleńców zaczęło naprawdę okładać się linijkami. Jeden, bardzo silnie „pokonany“, poszedł na skargę do „pana“. Gdy przy końcu pauzy „pan“ zapytał mnie jako dyżurnego, co tam było, okazało się, że ja o tem nic a nic nie wiem. Pomimo usprawiedliwień i wywodów z mojej strony o tem, jakto stwierdzono, że człowiek nie może równocześnie skupić uwagi na dwóch przedmiotach, „pan“ „zebrał mnie z góry“, twierdząc, że trzeba być skończonym niedołęgą, żeby nie dać sobie rady z dwudziestoma „bachorami“.

Nie sprawiło mi to przyjemności, ani też nie wprowadziło mnie w dobry humor tem bardziej, że byłem przekonany, że to wszystko przez dyżur, przez tych „bachorów“.

Nikt się też nie zdziwi, gdy powiem że na czwartą przerwę szedłem do kl. III-ciej z mocnem postanowieniem pourywniania głów wszystkim „bachorom“. Gdy jednak im powiedziałem o tem godnem najwyższego (nie na metry) uznania postanowieniu, oni zaczęli najbeszczelniej pod słońcem śmiać się mi w oczy, pomrukując z drwinami, że „kandydat nie ma prawa bić“, „pójdziemy do „pana“ i t. p.

Wtedy ja, chcąc na wszystkie czasy przełamać ich zuchwałość, a zarazem chcąc ratować swą powagę (przez okazanie swojej wszechmocy), dałem „klapsa“ jednemu z krzykaczy. Dzieci podniosły krzyk okropny, a poszkodowany poszedł na skargę do „pana“.

Co było potem, nie trudno odgadnąć, ja dodam tylko tyle, że „pan“ dużo krzyczał o zwracaniu się do ambicji dzieci i t. p.

Gdy na piątej przerwie poszedłem do III-ciej kl., by wprowadzić chłopców do domu, (u nich już było po nauce), postanowiłem wypróbować radę „pana“. Byłem pewny zgóry, że w praktyce, a jeszcze do tego z „kochanemi chłopczykami“ z III-ciej kl., na nic się nie przyda odwoływanie się do ich am-

bicji. Siląc się na naturalność głosu, powiedziałem: „Chłopczyki! teraz stawajcie w pary i pójdziemy do domu. Chciałbym tylko, żebyście szli w porządku i bez krzyków, jak przystało na uczniów III-ciej kl. (silny nacisk na słowo III kl.) Wychodzić! Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, chłopcy szli jak wojsko na ćwiczeniach. Otwarłem szeroko usta, zrobiłem „głupią“ minę i zwiąłem do klasy, rezygnując ze swych zapatrywań wychowawczych.

WASZCZYSZYN JAN kurs IV. P. S. N. M.

WSPOMNIENIA

(z wycieczki łodzią Sanem-Wisłą do morza w r. 1930.)

Warszawa. Rojna, tętniąca, pełna wrzawy i zgiełku wielkiego miasta. Wieczorem skąpana w powodzi światła, olbrzymia jaskrawa, pełna życia, tajemnic, radości i smutków. Zachwycałbym się Warszawą jeszcze długo, ale po pierwsze nie oglądałem jej dobrze, będąc tylko dwa dni, a po drugie i w ciągu tych dwóch dni jak na złość — padał deszcz. Ogarnął nas jakiś pęd włóczęgowski. Nie mogliśmy usiedzieć długo na jednym miejscu. Wabiła nas Wisła — wabiło już i „niedalekie“ morze.

Wyjechaliśmy z przystani w dzień dżdżysty, niemal jesienny. Przed oczyma naszymi rozpościerała się wspaniała panorama stolicy. Co krok piękne przystanie, wielka ilość łódek, kajaków, nakoniec statków. Zginął nam z przed oczu most Kierbedzia, następnie kolejowy, wreszcie przystań wojskowego klubu wioślarskiego „Żoliborz“ i wyjechaliśmy już poza obręb Warszawy. Po kilkogodzinnem wiosłowaniu rozplynęły się we mgle wysokie wieże kościołów warszawskich, pozostał jednostajny brzeg potężnej Wisły.

Zaczęło się wypogadzać tak, że odległy o 30 kilka km. Modlin mineliśmy popołudniu przy zupełnej już pogodzie. Następny dzień zapisał się na długo w naszej pamięci. Nie ruszyliśmy bowiem dzień cały wiosłem, a mimo tego 85 km. drogi pozostało za nami. Wspaniały wiatr, błogosławiony przez nas, a uwięziony w szare płótno żagla zbliżał nas coraz bardziej do upragnionego morza. O morzu śniliśmy i marzyli. Morze było dla nas czemś niepojętem i niezrozumiałem. Jaknajprędzej

wypłynąć na fale Bałtyku stało się naszym celem. Nie będę już opisywał szczegółowo całej drogi do morza. Zabrałoby to zbyt wiele czasu i miejsca. Dość, że wiele trudu i pracy kosztowała nas dalsza droga. Błogosławionego wiatru często nie było, trzeba więc było wiosłem zdobywać przestrzeń. Ale i tym sposobem postawiliśmy pewnego rodzaju rekord, przepłynąwszy w jednym dniu 86 km. O zmroku już udawaliśmy się na spoczynek po tak pracowitym dniu. Różnie jednak bywało. Gdy pogoda dopisała, jechało się raźnie i wesoło — gdy deszcz zaczynał padać, droga stawała się ciężka i smutna. Zależnie też od tego kształtowały się i nasze humory. Przed Toruniem znowu uśmiechnęło się do nas niebo, zsyłając wiatr, nawet trochę za silny! Trzeba było dobrze uważać, aby nie wykonać t. zw. zwrotu przez kil, czyli mówiąc po naszymu — nie wywrócić się. Omal, że do tego nie doszło w pewnym momencie. Gdy bowiem zmieniający się wiatr przerzucił bom żagla, łódź przechyliła się do ostatecznych granic, zacerpnąwszy nawet trochę wody. Szybki jedynie siad na burcie przeciwnej uchronił nas od przymusowej kąpieli. Dobry początkowo dla nas wiatr, naniósł jednak całkiem niepotrzebnie chmur i znowu na nasze nieszczęście zaczął padać deszcz. Mieśliśmy go już tak wiele, że ten ostatni naprawdę był przez nas przeklęty do ostatniej kropelki. Aż nas zdziwienie ogarniało, że niebo nie zesłało nam jakiejś kary w formie piorunu lub innej siarki z ogniem. Nie stało się to, ale za to deszcz nie przestał padać aż do drugiego dnia. Uczyniło się wszędzie mokro i nieprzystępnie. Na szczęście nad brzegiem znaleźliśmy budkę rybacką i w niej rozlokowawszy się jak u siebie w domu, oczekiwaliśmy pogody. Ale i tam długo nie siedzieliśmy. Gdy tylko deszcz przestał na chwilę padać, postanowiliśmy, mając do dyspozycji kabłaki z patyków, służących rybakom do zakładania sieci, sporządzić z namiotów budę coś jak na cygańskich wozach i jechać dalej. Jak postanowiliśmy, takeśmy zrobili. Rozpoczęła się trochę dziwaczna jazda. Zamknięci pod namiotami, zdani na łaskę sternika wiosłowaliśmy, mając wrażenie, że jedziemy gdzieś w odwrotną stronę. Może byłoby się jakoś jechało, lecz cóż, znowu zaczął lać deszcz, pędzony silnym bocznym wiatrem. Posuwaliśmy się bardzo powoli. Wtem rozległ się złowrogi trzask i moje lewe wiosło pękło. Ot i pech! Przed

nami stały tratwy ze słomianemi budkami. Dalsza jazda stała się niemożliwą. Deszcz lał jak z cebra. Z łodzi wysiadł najpierw Romek, za nim ja. Zaczęliśmy poszukiwania za ludźmi. Okazało się jednak, że nikogo nie było, a tratwy stały przywiązane do olbrzymich pali na brzegu. Korzystamy z przygodnego schronienia i włączymy zmoknięci do flisaczych budek. Zziębnięci i głodni, bo zapasy nasze już się wyczerpały, zasypiamy — kołtysani do snu wiślaną falą, rozbijającą się o grube belki tratwy. Wypogodziło się wreszcie rankiem dnia następnego i ruszyliśmy dalej, naprawiwszy oczywiście złamane wiosło. Zniknęło wreszcie, znane wszystkim Brdyujście, zniknął olbrzymi most fordoński, Świecie pomorskie i Grudziądz. Już prawie czuć słony oddech morza. Zniknął wkońcu i graniczny Tczew i wjechaliśmy przez służę Einłaga na Martwą Wisłę, która już bezpośrednio doprowadzić nas miała do morza. Zaczyna się większy ruch statków. Jesteśmy już blisko portu-Gdańsk. Olbrzymia ilość jachtów, łódek, statków parowych, motorówek wznieca fale i trzeba jechać ostrożnie, by nie zderzyć się z jakim statkiem. Zapada jednak wieczór, a my znajdujemy się ciągle jeszcze w porcie. Morza nie widać. Ku niemałej radości w pewnym miejscu czytamy polski napis: Klub wioślarski „Polski Hak“. Rozumie się przybijamy do pomostu i prosimy o nocleg. Zastajemy już tam wycieczkowiczów z Warszawy; znajomości jednak nie zawieramy, bo to jacyś bogaci panowie (choć też młodzi), chodzący jadać do restauracyj gdańskich, gdy my tymczasem posilamy się pożywieniem, ugotowanym przez nas samych. Tutaj po raz pierwszy pilnujemy nocą łódki, chcąc uchronić się przed złośliwością gdańskich wyrostków, skorych do płatania nieprzyjemnych figli polskim wycieczkom.

W dniu 1 sierpnia 1930 r. przejeżdżamy przez właściwy port, zarojony statkami o przeróżnych banderach i około godziny, zdaje się 10-tej, wyjeżdżamy na wymarzony Bałtyk. Dziwne uczucie nas ogarnęło. Na prawo przestrzeń zdaje się bez kresu, na lewo brzeg morski z widnym zdala portem gdyńskim. Bałtyk był rozfalowany, niespokojny. Jak okiem sięgnąć, skrzyły się do słońca białe grzywy ruchliwych fal. Zjadłszy ostatni kęs chleba, postanowiliśmy „zakotwiczyć“ się w Gdyni. Tymczasem

zaczął dąć od lądu dość silny wiatr. Założyliśmy żagiel i nurzając się w pianach, posuwaliśmy w stronę pełnego morza, względnie na lewo widoczny język Helu. Byliśmy jednak na morzu pierwszy raz. Oddaliwszy się od brzegu dość daleko, postanawiamy nagle wrócić przy pomocy wiosł do brzegu. Rezygnujemy ostatecznie już i z Gdyni. I teraz dopiero rozpoczęła się najśmieszniejsza część naszej jazdy po morzu. Mimo dużej chwiejby na łodzi odważyliśmy się z Romkiem wyciągnąć maszt. Udało się — ale ławeczka, podtrzymująca maszt, pękła z trzaskiem na dwoje. Zaczynamy wiosłować. Fale rzucają nami bez miłosierdzia, a rozbijając się o boki „Rekina“, obficie zlewają słoną wodą, (zdążyłem już skosztować) i wlewają się do otwartej łodzi. Nie zważamy jednak na to, tylko usilnie staramy się zbliżyć do widniejącego brzegu. Jednak wiatr i fale stale nas spychają w stronę morza. Ogarnęła nas jakaś ponura wściekłość. Nic do siebie nie mówimy, tylko w milczeniu wiosłujemy. Czuję, że zaczynają mi się robić na palcach odciski!

Na dobitkę Janek, siedzący przy sterze, rozpoczął „koncert“. Wymioty! Dostał choroby morskiej! Wybladły, zmoczony siedział na rufie łodzi, mogąc wzbudzić litość w najtwardszych sercach — tylko nie w naszych! Znadto byliśmy zajęci pracą wioślarską.

Ale dość już tych okropności, bo odstraszyłbym jeszcze kogo od wycieczki na morze! Dość, że do brzegu przybiliśmy dopiero o godz. 6-tej wieczorem, gdy wiatr uspokoił się nieco. Proszę sobie wyobrazić, jacy wysiedliśmy wszyscy bez wyjątku! Zgłodniiali, zmokli, zmęczeni i źli jak wściekle psy. Wypoczywaliśmy po trudach pierwszej walki z morzem — dwa dni. Potem znowu popłynęliśmy wpoprzek „małego morza“ do Jastarni. Cały dzień sunęliśmy tempem żółwia do niedalekiej wioski na Helu. Janek znowu zapadł na chorobę morską, tak, że zaczęliśmy się obawiać zupełnie poważnie o jego zdrowie. Świat był naokół taki piękny, że aż się nam oczy iskrzyły, tylko on jeden nie mógł podziwiać piękna polskiego wybrzeża.

Ogółem nad morzem siedzieliśmy względnie jeździliśmy całe dwa tygodnie. W obrębie „małego morza“ poznaliśmy wszystko, co tylko jest do zobaczenia. Zwiedzanie nasze ukoronowane zostało w dniu 13 sierpnia przybyciem do Gdyni z Es-

tonji Pana Prezydenta Ignacego Mościckiego. Jaki wywarł na mnie wrażenie pierwszy obywatel Polski — zamilczę, powiem jedynie tylko tyle, że do dziś go widzę ciągle takiego, jakim jest — uśmiechniętego, a niezwykle kochanego za swoją widoczną dostępność.

Wszystko niestety, ma swój kres. W dniu 14 sierpnia opuściliśmy Gdynię wieczornym pociągiem, udając się na południe do swoich rodzinnych domów. — Z żalem odjeżdżałem z nad morza. Czar i urok jego udzielił mi się na zawsze. Do końca życia chyba — będę morze kochał, bo go już troszeczkę, niewiele — ale rozumiałem. Patrząc na morze i na port z mola gdyńskiego, rozmyślałem nad istotą potęgi morza. Doszedłem do wniosku, że na morzu jest zapomnienie wszelkich smutków i trosk, na niem moc i hart, teraźniejszość i przyszłość potężna. Jestem już na zawsze wcielony w szeregi entuzjastów morza. Morze będzie dla mnie zawsze czemś pociągającym, jakąś wielką tajemnicą, dla której zbadań poświęcę swe przyszłe życie.

Kończąc te moje wspomnienia, chciałbym się zwrócić do wszystkich, którzy to czytać będą, z prośbą, aby ten krótki rys mojej wycieczki został należycie zrozumiany. Niejeden pewnie powie, że nie było czego nie rozumieć. Prawda! Wspomnienia napisane są poprostu, tak jak je przeżywałem, niczego nie dodałem ani nie zmyśliłem.

Chciałbym, aby znalazło się jaknajwięcej naśladowców do odbycia tej samej wycieczki, którą ja odbyłem w zdrowiu i zadowoleniu. Chcąc poznać swój kraj, wybierz się na wycieczkę, jeżeli nie taką to inną, a napewno ślad po niej pozostanie na całe życie. Wrażeń, nabytych na wycieczce, nie zapomina się nigdy. Wciąż są one żywe i barwne. Serce ściska się na myśl — ilu jest takich, którzy mogliby jeździć na wycieczki! Dlaczego nie jeżdżą? Wszak po zdrowie i hart chyba warto się wybrać. Inna rzecz, że kto jest t. zw. „piecuchem“, niedołągą, kogo przerażają trudy i niewygody lub ogarnia jakaś dziwna bojaźń przed czemś nieznanem na wycieczce, kto chce brać ze sobą pierzyny lub poduszki, ten oczywiście lepiej niech nie jedzie i nie robi kłopotu drugim, lecz niech siedzi w domu i wzdycha do dzielności i odwagi, której mu brak, a której boi się uczyć!

Koniec.

KA—WU, Sem. Męsk.

Jedwabnictwo w Samborze.

Ojczyzną jedwabników są Chiny. Trudno jest dokładnie stwierdzić, kiedy jedwabniki wprowadzone zostały do Europy. Kultura jedwabników chroniona była w Chinach w dawnych czasach bardzo ostreymi prawami, które przewidywały karę śmierci dla tego, kto by się poważył ułatwić przedostanie się w jakikolwiek sposób jedwabników poza granice cesarstwa chińskiego. A jednak, jak podanie głosi, znalazł się taki pomysłowy mnich, który wydrążył swoją łaskę podróżną. To wydrążenie zapełnił jajkami jedwabnika i tym sposobem, nie zwracając się na siebie żadnego podejrzenia, przekroczył granicę chińską. Z tak małego początku, w odpowiednich warunkach, jedwabniki szybko się rozmnożyły i już około roku 550-go znana była ich kultura w Europie południowo wschodniej. O rozwoju hodowli jedwabników w Europie decydują warunki klimatyczne, socjalne i ekonomiczne. Polska posiada wszystkie warunki: drzewa morwowe rosną dobrze. Centrala Doświadczalna Stacji Jedwabniczej w Milanówku pracowała nad hodowlą jedwabników 4 lata, chcąc przekonać się, jakie będą rezultaty. Państwo chętnie popiera tę nową gałąź przemysłu. W Samborze rozwojem jedwabnictwa zajął się pan dyrektor Michał Sobolewski. W roku 1929 sprowadzono 5 g jajeczek i urządzono próby hodowli jedwabników. Próba ta wypadła b. dobrze. Hodowlę zwiedziło kilkaset osób, a kokony rozdano po szkołach i urzędach celem dalszej propagandy. W roku 1930 sprowadzono 10 g i zaprowadzono dalszą hodowlę jedwabników: oprócz tego założono kurs instruktorski, z którego korzystało 24 osób, rekrutujących się z nauczycieli i włościan. Wyhodowane kokony sprzedano za 159 zł.

W roku 1931 sprowadzono 20 g jedwabników i hodowlę prowadzono przy własnych instruktorach i sprzedano 4,49 kg jedwabiu do Milanówka. Jedwabnictwem zajęła się Szkoła Zawodowa, która ma zamiar wprowadzić u siebie hodowlę na większą skalę. Morwy zasadzono już naokoło parceli szkolnej.

My młodzi z czcią i szacunkiem patrzymy na czerstwą i ruchliwą postać czcigódnego opiekuna jedwabnictwa p. dyr. Sobolewskiego — mając przykład — jak to wiek sędziwy nie przeszkadza mu w zrozumieniu pierwszych potrzeb kraju.

Marja Michalcewiczówna, ucz. III. kl. szk. zaw.

Rola kobiety w przyszłej wojnie.

Jeszcze luczają nam w uszach ciężkie działa wojny światowej; jeszcze słyszymy jęki i westchnienia braci naszych w okopach, a znowu widmo wojny zawisa nad Europą.

Słowo wojna dziś zdaje się być poezją przyszłości, jednak trzeba się liczyć z tem, że każdej chwili może się ono stać głosem teraźniejszości. A ta teraźniejszość gorszą stokroć od okropności wojny światowej. Europa, cała idzie z postępem czasu, doskonalą się, zbroi i przygotowuje.

Technika dosięga szczytu. Ludzkość cała żyje w wielkiem napięciu i stałem oczekiwaniu zawsze czegoś nowego. Napięcie to cechuje i nas — kobiety.

My dobrze uświadamiamy sobie ogrom ciężarów, jakie spadną na nas w przyszłej wojnie.

Dziś dosięgłyśmy już szczytu swych dążeń, odzyskałyśmy wolność osobistą; mamy prawa równe mężczyźni i wszystkie dane, aby, gdy zajdzie potrzeba, stanąć w równych z nimi szeregach.

Dlatego też, gdy widmo przyszłej wojny zagrozi nam swym ogromem, nie usuniemy się na plan drugi, ale zespoliwszy swe siły, staniamiy z niem do rozprawy.

Musimy pamiętać o tem, że na głos surmy wojennej pójdą wszyscy ojcowie, mężowie i bracia, a nam pozostanie dom, rodzina i państwo, w którem mamy utrzymać ład i porządek.

My musimy zająć wszystkie placówki, porzucone przez mężczyzn; na nas czekać będą urzędy, administracja, gospodarka wewnętrzna, szkolnictwo i wychowanie młodzieży.

Na nas czekał będzie biały fartuch sanitariuszek, do nas zwrócą się błagalne oczy chorych i umierających, którym musimy pospieszyć z pomocą ze szczeremi słowami pociechy, ulgi i wiary.

Nas czekać będzie gasnąca pochodnia oświaty ludu, uprawa ziemi, ciężka praca w fabrykach broni, obowiązki matek i obywaterek.

Czekać nas będzie praca wielka i mozolna, której lękać się nam nie wolno, ale przyjąć trzeba jako obowiązek prawej i wzorowej obywatelki państwa.

Nie wolno więc nam lękać się ani wylewać łez rozpacz, czy rozczulenia nad dolą naszą, ale mając w pamięci wizję wszystkich okropności, jakie nas oczekują, powinniśmy się zahartowywać i przysposabiać do tak wielkiej misji.

Łączmy się więc w związki i organizacje kobiet, które zaprawią nas i przygotują do ciężkich trudów — wyrobią w nas siłę i ducha do dźwigania wszelkich ciężarów, czy nawet śmierci bohaterskiej na polu walki.

Owoc organizacyjnej pracy kobiet w przygotowaniu do trudów w przyszłej wojnie widzieliśmy już w czasie „Tygodnia L. O. P. P. w Samborze.

Sądę, że nikt nie powie, iż nie widział, jak w czasie ataku gazowego na Sambor, uwijały się po ulicach miasta drużyny ratownicze żeńskich hufców szkolnych i drużyny „Organizacji Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju“.

Niechże więc już sam ten fakt mówi za siebie i niech on będzie impulsem do dalszych przygotowań kobiet do nieuniknionej walki z widmem przyszłej wojny!

Stecyk Julia, ucz. szk. zaw. żeńsk.

NASZA KLASA.

Jest nas 40. Wszystkie można zaliczyć do zjadaczek chleba i psotnic pierwszego gatunku. Choć nie brak tu i poważnych, lecz te, to minimum przy reszcie.

Gdy tylko zbliża się ósma godzina, klasa wypełnia się po brzegi. Dosłownie po brzegi, bo ławek jest tak dużo, iż stoją od ściany do ściany.

Ruch jak w ulu. — Wiśka czerni brwi ołówkiem Majewskiego, zachwalając go jako najlepszy, bo najtańszy kosmetyk do upiększania twarzy. Maryśka obwija gardło szalikiem, gdyż zachrypła od krzyku i coś źle jej dziś funkcjonuje. Józka wykrzywia się do lusterka, strojąc więcej niż pocieszne miny. Funa z Elką walą się co siły, nie mając gdzie wyładować swej energii. Genia ogląda swą filigranową figurkę w szybie. Jaśka wyrabia matematyczne zadanie. Hela pisze list do najnowszej sympatii. Elka próbuje modulacji głosu, aż szyby brzęczą. Adelka

wcina pajdę chleba okropnych rozmiarów. Ponad tą szarzyną klasową góruje dyskant wójta, nawołujący do opamiętania pod każdym względem i zakłócający codzienny nastrój klasowy.

PRYW. SEM. ŻEŃ.

Kilka słów o rozwoju tkactwa.

Tkactwo uprawiane było już w starożytności. Mamy wiadomości, że już w 3000 r. przed Chrystusem prowadzili Fenicjanie ożywiony handel egipskiem płótnem, zwanem „byzus“. Od Egipcjan nauczyli się tkactwa Assyryjczycy, których produkty tkackie w latach 1500 do 1200 przed Chrystusem były przedmiotem handlu i wywozu. Egipcjanie i Assyryjczycy używali tkanin tylko lnianych natomiast w tym samym czasie rozwinęło się w Chinach tkactwo jedwabnicze. Chińczycy pod groźbą śmierci zakazywali wywozu ze swego kraju morwy i jajek jedwabnika. Do Europy przywieźli je jednak mnisi perscy w III. wieku po Chrystusie. W Indjach w tym czasie rozwijało się tkactwo bawełniane. Indowie wyrabiali już na 1000 lat przed Chrystusem cieniutkie tkaniny bawełniane. Do Europy sprowadzili bawełnę Turcy około 900 roku po Chrystusie.

W Polsce pierwsze wzmianki o rozwoju tkactwa mamy już za czasów Bolesława Krzywoustego, a w roku 1329 nadał tkaczom liczne przywileje Władysław Łokietek. W tym czasie tkactwo najlepiej było rozwinięte w Szydłowie. Za Jagiellonów fabrykowano w Polsce nie tylko płótna lniane, lecz także aksamity, adamaszki i atlas. W tym czasie powstał cech tkacki w Samborze, a w XV w. powstały takie cechy w Komarnie, Lwowie i Krakowie. Przemysł tkacki zaczęto coraz bardziej udoskonalać, dążono bowiem do tego, aby pracę robotników zastąpić pracą maszyny. W XVIII w. wynaleziono maszyny do przędzenia bawełny, co umożliwiło wzmoczoną produkcję przędzy bawełnianej. Maszyny te wynaleziono w Anglii. Za przykładem Anglii poszła Francja i Niemcy.

W roku 1829 założono również w Polsce pierwszą przedsiębiornię mechaniczną. Maszynę parową sprowadził do Polski Gajjer z Anglii. Polska była krajem rolniczym, a więc wszelki

przemysł, a tem samem i tkactwo odgrywało w niej podrzędną rolę. Pomimo tego wystarczaliśmy sobie, lub wyroby tkackie, takie jak jedwabne pasy, kilimy, makaty, a nawet drogocenne polskie strzyżone dywany poszukiwane były zagranicą. Szasem potworzyły się większe centra przemysłu domowego, które produkowały wyłącznie na handel. Takie centra istniały głównie na Podkarpaciu. Były to Błażowa, Korczycz, Kossów, Komarno, Wilanowice i inne. Austria po zagrabieniu Małopolski, odrazu zniszczyła nasz dorobek. Wydano liczne nakazy i ograniczenia, n. p. że nie wolno kupować płócien, wyrobionych w polskiej fabryce. Austriacy dążyli również do tego, aby nie dopuścić do rozwoju tkactwa mechanicznego w Polsce. Wskutek tego tkactwo domowe, nie mogąc wytrzymać konkurencji z tkactwem mechanicznem, chyliło się powoli do upadku. W Polsce na nieszczęście brakło dzielnych ludzi, którzyby starali się podtrzymać tkactwo; nie więc dziwnego, że przemysł tkacki, gnębiony przez obcych, a nie mając poparcia u swoich, upadał. Ostateczny cios zadała mu wojna światowa i dziś po wielkich centrach domowego przemysłu tkackiego w Małopolsce pozostały zaledwie ślady. Po wojnie przemysł tkacki podniósł się nieco. W roku 1920 założono szkołę tkacką w Krośnie i w Kossowie i zaopatrzone je w maszyny tkackie oraz przędzalnie; mamy więc nadzieję zmiany na lepsze. Pomyślniej rozwijał się przemysł tkacki w Królestwie t. j. w tej części Polski, która popadła w niewolę rosyjską. Rząd rosyjski popierał napływ obcych rzemieślników do Polski. Przyznał im nietylko rozmaite przywileje, ale także poparcie materialne w gruntach, materiałach budowlanych i pieniądzach. Takim sposobem pozostały wielkie centra przemysłu tkackiego jak Łódź, Częstochowa, Żyrardów, Białystok i inne. Najbardziej rozwinął się przemysł sukienniczy w Białymstoku. W roku 1824 założył Łuszczyński pierwszą fabrykę sukna w Markawsczyźnie pod Białymstokiem. Za przykładem Łuszczyńskiego poszli miejscowi koloniści i wybudowali dwie fabryki w Lupraślu. Głównym rynkiem zbytu dla przemysłu białostockiego była Rosja. Wskutek utraty rynków zbytu przemysł białostocki przechodzi po wojnie bardzo ostry kryzys.

Równomiernie z rozwojem przedsiębiorstw rozrastały się fabryki maszyn tkackich. Duch ludzki pracował z całą siłą nad

nowemi wynalazkami i ulepszeniami. Krosno tkackie zostało do tego stopnia udoskonalone, że potrzeba nadzoru maszyny przez robotników została sprowadzona do minimum. Wyszkolony i pilny robotnik może obsłużyć 16 maszyn, a maszyny powierzone jego nadzorowi produkują 40 razy więcej, niż najlepszy i najpilniejszy robotnik ręczny. Państwo dąży obecnie do tego, aby tak zreorganizować cały przemysł, żeby wszyscy robotnicy mieli zapewnioną pracę. Czy to się jednak stanie, okaże przyszłość.

JONIAK STEFAN/A kl. I. szk. zaw.

ŚWIĘTO „MATKI”.

W niedzielę, dnia 28 maja b. r. obchodziliśmy w naszym zakładzie (P. S. N. M.) bardzo radosne święto Matki, uroczystym wieczorkiem. Na program złożyło się przemówienie p. dyrektora Jastrzębskiego, przemówienie Kukułki, ucznia kl. 6-tej szkoły Ćwiczeń, deklamacja Dučki ucznia kl. 2-giej szkoły Ćwiczeń, śpiew uczniów szkoły Ćwiczeń, orkiestra i piękny obrazek sceniczny p. t. „Głos matki“ w wykonaniu naszych milusińskich z 2-giej i 3-ciej klasy szkoły Ćwiczeń.

Niniejszy artykuł jest przemówieniem ucznia kl. 6-tej, wygłoszonym na tym wieczorku.

*

*

*

O najstarszem źródle święta Matki opowiadają następująco: Pewnego razu (a było to w Ameryce) bawili się dwaj chłopcy. W czasie tej zabawy w pewnym momencie zastanawiali się nad tem, co robią ich matki. Doszli więc do przekonania, że matkom ich dzieje się wielka krzywda, ponieważ muszą one ciężko pracować i nawet chwili czasu nie mają, aby się czasem rozerwać. Po chwili ci dwaj chłopcy porzucili zabawę, wrócili do domu i pomagali w pracy swoim matkom. O tem dowiedzieli się ludzie, a jedna pani mis Anna Dzejrvis (Jarwis) poddała myśl, ażeby w miesiącu maju oddawać hołd matkom za ich pracę i dobroć. Ta dobra myśl bardzo szybko przyjęła się w całym świecie.

I my też nie gorsi od dzieci amerykańskich zebraliśmy się dzisiaj, ażeby oddać hołd tym, które prowadzą nas do dobra i szczęścia.

Te dwa słowa „Mama“ i „dziecko“ wywołują w nas pewne uczucia przyjemne, miłe. Bo czy znalazłaby się gdzieś taka matka, któraby nie kochała swojego dziecka. A czy może znalazłoby się takie dziecko, któreby nie kochało swej matki? Nie, tak nigdy nie było, nie jest i być nie może.

Dlatego my, dzieci naszych matek, powinniśmy je kochać, powinniśmy je szanować, bo czy pamiętamy, kto nas małych kołysał? kto nas do snu usypiał? kto nocami nie spał, gdyśmy byli chorzy? Wiele trosk przeniosła ta mama, a jak cieszyła się, gdyśmy powrócili do zdrowia. Jaka radość ukazywała się w wyrazie jej twarzy. A dalej trzeba zapytać się, kto uczył nas chodzić? Kto uczył nas modlić się? Kto prowadził nas do kościoła, cerkwi czy kapliczki? Kto pierwszy nauczał nas o Bogu, o Matce Boskiej i Aniołach? Kto nas ochraniał od zła? Kto nas ochraniał od złych ludzi i niedobrych zwierząt? Do kogo biegaliśmy, a nawet jeszcze dzisiaj biegamy dzielić się radością czy smutkiem? A kto pocieszał nas w chwili smutku? A kto nas posyłał i posyła dziś do szkoły? Kto wyrzeka się niejednej przyjemności, ażeby nam niczego nie brakło? A kto oczekuje niecierpliwie naszego powrotu do domu ze szkoły w czasie burzy i deszczu? Na te wszystkie pytania nie możemy dać innej odpowiedzi, jak li tylko Matka!! Otóż widzimy tyle długich pytań a taka krótka i jedna odpowiedź. Nikt inny zdaje się nie potrafiłby ponieść tyle ciężaru, ile dźwiga go na ramionach swych nasza kochana Matka.

A więc uchowaj nas Bóg przed utratą tej matki. Napewno jest tak, że kto straci matkę, ten jest bardzo biednym; on nie ma tego wszystkiego, o czym wyżej wspomniałem.

A więc to słowo „Matka“ zebrało nas tu, abyśmy oddali tej matce hołd, jaki jej winni jesteśmy.

Ta nasza matka jest jakgdyby tym ogniem, który ogrzewa chatę. Matka, jak mówi przypowieść, trzyma za trzy rogi dom. Jednem słowem matka oddaje dla nas całe swoje „ja“.

Siła matczynej miłości ku nam jest tak wielka, że do dzisiaj utrzymała się wiara wśród naszego ludu, że matka po śmierci opiekuje się dziećmi, które pozostały. A że rzeczywiście tak jest, tego dowodem będzie to, że po naszych wioskach, w czasie wesel młoda - sierota woła swoją matkę

z grobu, aby ta pobłogosławiła ją na nową drogę życia. My sami wiemy, jakie zimno panuje w domu, z którego wyniosą na cmentarz matkę — a drobne sieroty głodne, niemyte wyglądają z kącików, dotąd, aż zmuszone głodem, czy przez złą macochę, muszą porzucić rodzime gniazdo i iść w świat między cudzych ludzi — szukać nibyto tej miłości, jakiej doznawały od rodzonej matki, ale to na darmo.

My, dzieci naszych kochanych matek, jesteśmy młodą podwaliną naszego państwa. My, dzieci jesteśmy szczęściem rodziców, a gdy podrośniemy, gdy zostaniemy pełnoletnimi, staniemy się szczęściem naszego Narodu — stworzymy wielkość, siłę i armję. A więc czyjem dziełem jest prowadzić nas do tego celu? Tylko dziełem matki, która jest najbliżej nas.

Musimy cenić wysoko tę kochaną naszą matkę, bo któż inny nauczyłby nas żyć po Bożemu, któż nauczyłby nas kochać swoją ojczyznę, a w darze dla niej nieść swoją siłę ducha i życia? Tu też nie można dać innej odpowiedzi. Jak tylko tą, że Matka!

Przyjmijcie więc od nas, kochane Matki, zapewnienie, że będziemy Wam wierni, że przy każdej modlitwie, przy każdej sposobności będziemy prosili Boga, ażebyście nie doznały nigdy żadnej przykrości. Tak Wam życzą Wasze kochane dzieci.

TURNIEJ ROZRYWKOWY.

—)	na	↑
lc		le
↓	BA	(—

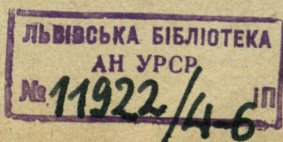
Zadanie wirowe ul. J. Kaczmarówna II. kurs.

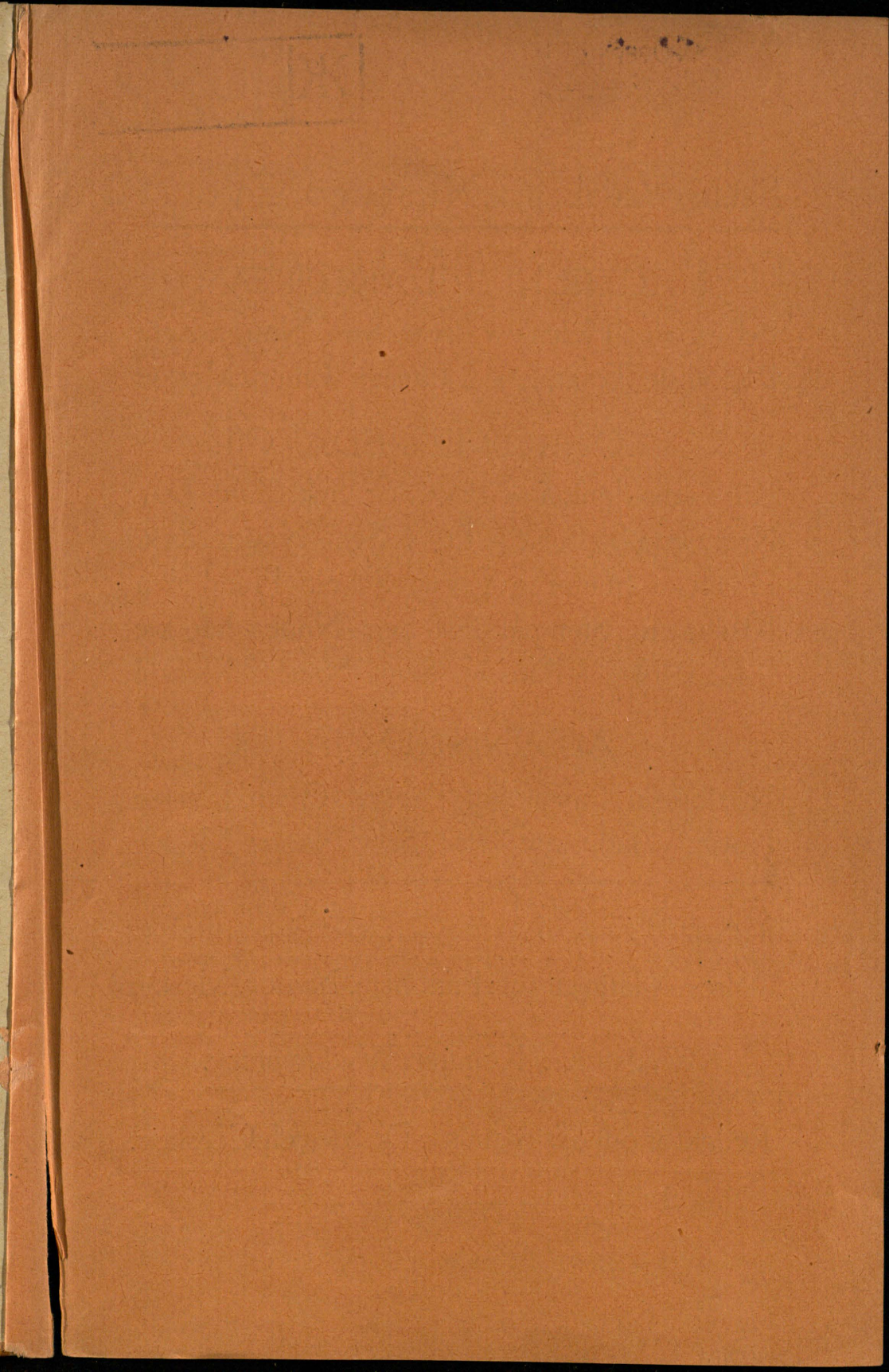
W cztery puste kwadraty (ze strzałkami) należy wstawić po jednej sylabie, aby powstały 4 wyrazy, czytane w kierunku strzałek. Ostatnia sylaba każdego z tych słów będzie jednocześnie pierwszą następnego.

Znaczenie wyrazów: mebel, sprzęt artysty

malarza, tytoń, człowiek z uszkodzeniem ciała.

Wydawca: Komitet Wydawniczy. Redaktor odpowiedzialny: Dr. Święch Czesław.





Skład Redakcji „Naszego Życia”. 5-6

NACZELNI REDAKTORZY:

Pelzerówna Helena = Pryw. Sem. Naucz. Żeń.

Radomski Tomasz = I. Państw. Gimn. Męskie

CZŁONKOWIE REDAKCJI:

Karwacka Janina = Pryw. Śr. Szk. Zaw. Żeń.

Królówna Stefanja = Pryw. Sem. Naucz. Żeń.

Piwnicka Janina = Pryw. Szkoła Handlowa

Krukiewicz Stefan = Państw. Sem. Naucz. Męskie

Radzik Kaz. = Państw. Sem. Naucz. Męskie

ADMINISTRACJA:

Kozłowski Paweł = I. Państw. Gimn. Męskie

Korcz Władysław = Państw. Sem. Naucz. Męskie

Adres Redakcji: I. Państwowe Gimnazjum

Adres Administracji: Państw. Sem. Naucz. Męskie

Wydawca: Komitet Wydawniczy.

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Święch Czesław.
